

*Zdrowych
i pogodnych
Świąt!*



Zamówienia na stronie: www.stubbornlyabsent.com

Commemoration
A Tribute to
Wisława Szymborska

STUBBORNLY
ABSENT

Szymborska zaśpiewana po angielsku
Unikatowy projekt muzyczny
Książka z płytą CD

MUSIC PRODUCTION

JAZZDA
MUSIC

RADIO AND TV COMMERCIALS

JAZZDA



RECORDING STUDIO IN WARSAW, POLAND
WWW.JAZZDAMUSIC.COM

MUSIC

COMPOSING
RECORDING
MASTERING
MIXING



ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
Redaktor Naczelna

Zbliżają się Święta. Niewykluczone, że w Europie będą białe, ale... na narty raczej się nie wybierzemy. Będzie sporo czasu na spotkania? I tutaj wyobrażamy sobie jakie mogłyby być.

Scena Polska w Holandii, tak jak i większość organizacji i instytucji kulturalnych nie mogła urzeczywistnić swoich planów. Przedstawienie teatralne, festiwal filmowy chociaż zaplanowane, nie odbyły się w tym roku. Ale mamy swoje pismo i chcemy Państwo zapewnić, że nie podajemy się. Nie możemy upaść z powodu braku dochodów, bo... nigdy ich nie mieliśmy. W tym roku nie otrzymaliśmy też dotacji, o które się ubiegaliśmy ze środków

dla Polonii. Wystąpiliśmy więc na przyszły rok...

A pismo? Właściwie mało się w naszej pracy zmieniło. Redakcja pracuje zdalnie od zawsze. Nasi autorzy mieszkają w różnych miastach, krajach ba, nawet na różnych kontynentach! U Alka Silbera w Australii jest teraz upalne lato, a Władek Juszkiewicz spaceruje z psem po słonecznej pustyni w Kalifornii. To, co większość z nas łączy, to noszenie masek, bez względu na szerokość geograficzną. No i to, że pracujemy społecznie i z pasją. Trwa to już prawie trzydzieści lat i wciąż nam się chce.

Wysłuchałam interesującego wykładu uczestnicząc online w III Światowym Forum

Mediów Polonijnych. Pani Prelegentka podkreślała ważność kontaktów z czytelnikami. Nasze pismo ma bardzo szeroki wachlarz tematów, nieograniczony zasięg odbiorców dzięki internetowi. Niestety nie zawsze wiemy jak Państwo nas odbieracie. Jak ośmielić Czytelników żeby dzielili się z autorami swoimi opiniami, refleksjami? Gdy spotykaliśmy się na imprezach, które organizuje lub którym patronuje Scena Polska, było jakoś łatwiej. A teraz, gdy większość z nas siedzi w domu i martwi się, jak to dalej będzie, o co pytać? O czym rozmawiać?

Zawsze może być lepiej. I tego sobie nawzajem w tym nadchodzącym 2021 roku życzymy, a przede wszystkim ZDROWIA!



SCENA POLSKA | Nr 3-4(104)/2020 | ISSN 1233-7633

REDAKCJA: Zofia Schroten-Czerniejewicz i zespół.

WYDAWCA: Stichting Pools Podium, Tel. +31 (0) 621 564 177, e-mail: poolspodium@gmail.com

Stichting Pools Podium, ABN AMRO Utrecht, IBAN: NL85 ABNA0 518544443.

www.poolspodium.org

ZDJĘCIA: Archiwum SPP

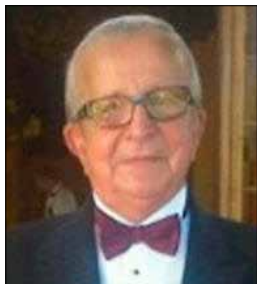
SKŁAD KOMPUTEROWY: Mariusz Mamet | Mac Map

OKŁADKA: Święta w Utrechcie – fot. Archiwum SPP

DRUK: Drukarnia Swarzędzka Stanisław i Marcin Witecki sp.j.



Polskie Kolędy i Pastorałki



PIOTR SZCZECHOWIAK

Tradycyjnie 24 grudnia z pierwszą gwiazdą rodziny polskie zasiadają do wigilijnej wieszery. Wszyscy ze wszystkimi dzielą się opłatkami. Składają sobie życzenia, trwa wielki festiwal powszechnej życzliwości, miłej adoracji.

Na stole przykrytym śnieżnym obrusem stawiane są tradycyjne potrawy. Siedem potraw w rodzinie chłopskiej, dziewięć w szlacheckiej, dwanaście w pańskiej, jak zanotował pod hasłem „wigilia” w Encyklopedii staropolskiej skrupulatny jak zawsze, Zygmunt Gloger.

Tak było kiedyś!

Wiele z tych zwyczajów zachowało się po dzień dzisiejszy. Jest zatem zielona i przystrojona choinka, są pierniki. Jest sianko pod obrusem, jest i wolne miejsce przy stole. Chociaż, jak pisał Wincenty Pol w „Pieśni o ziemi naszej, kiedyś takich miejsc było więcej.

No i śpiewa się kolędy!

Piękne polskie kolędy i pastorałki. Kolędy, które przy wigilijnym stole jednoczą wszystkich. Kolęd znanych, lubianych i powszechnie śpiewanych jest kilkadziesiąt. Są kolędy wiejskie, miejskie, szlacheckie i ludowe. Stare i nowe. Są kolędy żołnierskie, powstańcze, robotnicze, więzienne i obozowe.

Dziwna w ogóle jest ta polska kolęda i to polskie kolędowanie. Dziwne i jakże zachwycające. Wspominany już Zygmunt Gloger napisał, że gdyby ktoś, kto nie zna dokładnie Nowego Testamentu, chciał sobie wyobrazić zdanie na temat pochodzenia Świętej Rodziny tylko na podstawie naszych kolęd, to doszedłby do przekonania, że „mały pan Jezusek” urodził się gdzieś w Polsce w wiejskiej stajence. A Maryja Panna i św. Józef też byli Polakami

Kolędy i pastorałki to skarby narodowej kultury muzycznej o blasku gwiazdy betlejemskiej roziskrzanej na granatowym niebie. Natchnione duchem wiary i miłości. Ich wielka prostota i piękno, olbrzymi ładunek emocjonalny oddają w obrazach słowem i muzyką malowanych dzieje narodzenia Chrystusa. Wszyscy śpiewają swe ulubione pieśni na Narodzenie Pana. Polacy najpiękniejsze ze wszystkich kolęd, Niemcy poważne Weihnachtslieder. Francuzi wesołe cantiques de Noel. Włosi szeroko śpiewane canti di natale. Anglicy nastrojowe Christmas Carols. Każdy pragnie ucić w nowonarodzonym swego Zbawiciela. Każdy łaknie pokoju, szczęścia, radości. Wszyscy poddają się uczuciu miłości i szczerzej wzajemnej przyjaźni.

Adam Mickiewicz w swych dziennikach pisał:

„Nie wiem czy jest kraj, który może pochwalić się zbiorem kolęd podobnych do tych, które posiada Polska, Trudno by znaleźć w jakiegokolwiek innej Poezji wrażeń tak czyste, o takiej słodczy, naturalności i takiej delikatności. Kolędy i pastorałki są muzyką najbliższą naszym sercom.”

Prof. Stefan Stuligrosz, Mistrz chóralistyki polskiej, pisał tak: „Kolędy, pastorałki, kantyczki... Czytamy ich

teksty. Śpiewamy zapisane nutowymi znakami melodie. Zachwycamy się śpiewem aniołów. Podążamy za Betlejemską Gwiazdą, wchodzimy do szopy pachnącej sianem, pochylamy się nad dzieciątkiem leżącym w żłobie. Jakie śliczne. Padamy z uwielbieniem na kolana. Z ciekawością rozglądamy się wokoło. Dopiero teraz dostrzegamy Maryję czuwającą nad snem swego synka. Przy Niej św. Józef. Ruch wokół stajenki szalony! Zbiegają się zewsząd pasterze z podarunkami. Grają i śpiewają na ludową nutę. Zamaszyste mazury, skoczne obertasy, smętnie kujawiaki.”

Polskie kolędy są od dawna inspiracją i natchnieniem dla poetów i kompozytorów, którzy współuczestniczą w tworzeniu nowych dzieł.

Znam wiele utworów poetów którzy w swej twórczości nawiązują do tradycji Bożego Narodzenia.

Powstały piękne: „Wigilijne opłatki poetyckie”. Oto wybrane fragmenty:

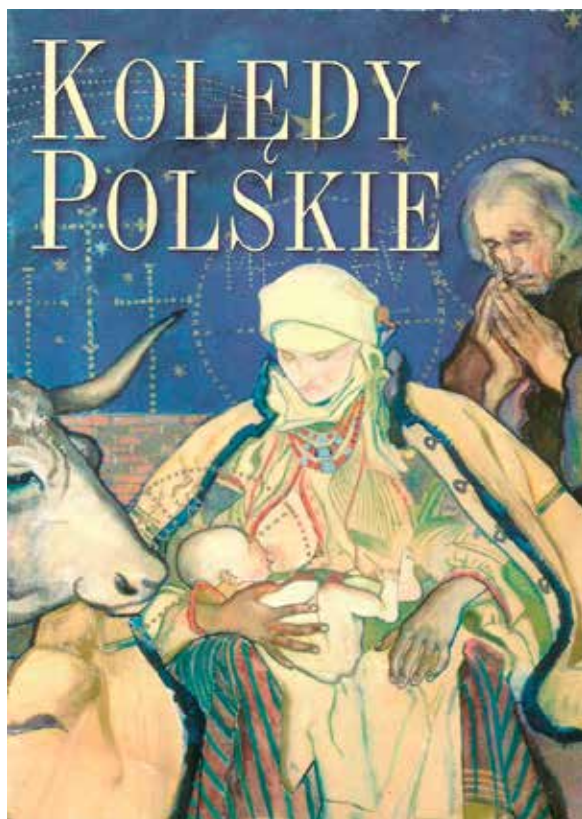
Jan Kasprowicz – „Przy wigilijnym stole”
„Przy wigilijnym stole,
Łamiąc opłatek święty,
Pomnijcie, że dzień ten radosny
W miłości jest poczęty...”

Adam Mickiewicz – „Anioł”
„... Pastuszkowie postrzegli
I do Betlejem biegli;
Pierwsi wieczną mądrość witali
Wieczną władzę uznali;
Biedni, prości i mali.”

Cyprian Kamil Norwid – „Opłatek”
Jest w moim kraju zwyczaj,
że w dzień wigilijny,
Przy wżejściu pierwszej gwiazdy
wieczornej na niebie,
Ludzie gniazda wspólnego
łamią chleb biblijny
Najtkliwsze przekazując
uczucia w tym chlebie.

Życzę Państwu Pogodnych Świąt
Bożego Narodzenia i zapraszam
do śpiewania pięknych, polskich
Kolęd!

PIOTR SZCZECHOWIAK
ANIMATOR KULTURY
I KONFERANSJER HONOROWY
PREZES WIELKOPOLSKIEGO
ZWIĄZKU CHÓRÓW I ORKIESTR
„MACIERZ” W POZNANIU



Betlejemskie Światło Pokoju



KRYSTIAN DYBEK

O tym czym jest Betlejemskie Światło Pokoju i jak do świąt przygotowują się harcerze.

Święta Bożego Narodzenia to magiczny czas oczekiwania na narodziny Bożego Syna. Nie tylko w kulturze Polskiej, ale także na całym świecie powstało wiele tradycji związanych z tym czasem.

Harcerze oraz skauci z całego świata chcą, aby przy wigilijnym stole zapłonęło światło rozpalone w Grocie Narodzenia Pańskiego 1986 roku objęli patronat nad akcją Betlejemskie Światło Pokoju. Po raz pierwszy akcję zorganizowano w 1986 roku w Linz, w Austrii, jako część bożonarodzeniowych działań charytatywnych. Akcja nosiła nazwę „Światło w ciemności” i była propagowana przez Austriackie Radio i Telewizję (ORF).

Każdego roku dziewczynka lub chłopiec, wybrani przez ORF odbierają Światło z Groty Narodzenia Pańskiego w Betlejem. Następnie Światło transportowane jest do Wiednia za pośrednictwem Austrian Airlines. W Wiedniu ma miejsce ekumeniczna uroczystość, podczas której Płomień jest przekazywany mieszkańcom miasta i przedstawicielom organizacji skautowych z wielu krajów europejskich.

Związek Harcerstwa Polskiego organizuje Betlejemskie Światło Pokoju od 1991 roku. Tradycją jest, iż ZHP otrzymuje Światło od słowackich skautów. Przekazanie Światła odbywa się naprzemiennie raz na Słowacji raz w Polsce. Polska jest jednym z ogniw betlejemskiej sztafety. Harcerki i harcerze przekazują Światło dalej na wschód: do Rosji, Litwy, Ukrainy i Białorusi, na zachód do Niemiec, a także na północ – do Szwecji.

Każdego roku akcja odbywa się pod innym hasłem. Harcerze przygotowując się do sztafety światła po Polsce rozważają różne problemy oraz zastanawiają się nad działaniami, które mogą sprawić że świat staje się lepszy.

W środowisku w którym działam, sztafeta z Betlejemskim Światłem Pokoju rozpoczyna się od Betlejemskiego Świecowiska. Stało się już tradycją drużyn działających w Nowym Tomysłu, że w okolicach świąt

Bożego Narodzenia spotykamy się z naszymi przyjaciółmi, którzy wspierają nasze działania. Świecowisko rozpoczyna uroczyste wprowadzenie Betlejemskiego Światła Pokoju, które otrzymujemy od sąsiednich drużyn lub z Komendy Chorągwi. Podczas spotkania harcerze i zuchy prezentują historię polskich kołęd i pastorałek. Spotkanie kończy się wspólnym kołędowaniem oraz dzieleniem opłatkiem. Do domu każdy wraca z zapalonym zniczem od lampionu z płomieniem Betlejemskiego Światła Pokoju.

W kolejnych dniach przed świątami Bożego Narodzenia harcerze oraz zuchy odwiedzają instytucje publiczne w mieście działające w mieście, aby przekazać światło oraz życzenia świąteczne. W ostatnią niedzielę przed Bożym Narodzeniem harcerze oraz zuchy wprowadzają uroczyste światło do kościołów mieszczących się na terenie gminy. Po każdej mszy w tym dniu harcerze rozprowadzają znicze ze Światłem Betlejemskim. Podczas rozprowadzania, prowadzą także dobrowolną zbiórkę pieniędzy z której dochód przeznaczają na bieżącą działalność drużyn oraz wspierają różne akcje charytatywne.

PWD. KRYSTIAN DYBEK
ZWIĄZEK HARCERSTWA POLSKIEGO,
HUFIEC NOWY TOMYŚL



Przekazanie Światła na ręce Komendanta Policji



Rozpoczęcie betlejemskiego Świecowiska



Rozprowadzanie światła wśród wiernych



Wprowadzenie Światła do kościoła



Życzenia od zaproszonych gości

Smaki, zapachy i muzyka świąt



DANUTA SZCZECOWIAK

Każdy przyzna, że Święta Bożego Narodzenia mają w sobie jakąś magię, której nie psują nawet reklamy pojawiające się już po Święcie Zmarłych.

Ta magia związana jest ze wszystkimi przygotowaniami – od mycia okien, prania firanek, przygotowywaniem ciasta na piernik i pierniczki, dalej przygotowywanie maku do upieczenia domowych makowców, po świąteczną nalewkę. Nie można zapomnieć również o dekoracji wewnątrz i na zewnątrz domu – choinka, kolorowe światełka, bombki itp.

Smaczne, bogate w smaku, aromatyczne potrawy i napoje przywołują na myśl Wigilię, wspaniałe ciasta i zapach piernika unoszący się po domu. Tego spokoju i sentymentalnego nastroju przywołującego pamięć dzieciństwa i niecierpliwego oczekiwania na Gwiazdora (Mikołaja).

Jako, że w tytule jest muzyka Świąt rozpocznę od wspomnienia.

W połowie lat osiemdziesiątych ub. wieku byliśmy w Tatrach na czasach świąteczno-noworocznych. Zakopane, Dolina Białego. Po Wigilii w domu wczasowym poszliśmy do pobliskiego małego kościółka na Pasterkę. Wewnątrz mieszkający okolicy w odświętnych, regionalnych strojach. Atmosfera też ... regionalna (zapachy gorzałki stwarzały niezapomniany klimat, jednak nikt nie był pijany). Ceprów nie było wielu, ale witani byliśmy życzliwie. W momencie gdy zabrzmiała kolęda BÓG SIĘ RODZI – mury kościółka się zatrzęsły, a ja wrazenia i „gęsiej skóry” nie zapomnę do końca życia....

Tyle wspomnień...

Pora wrócić do rzeczywistości i pomyśleć o przygotowaniach do Wierzy.

Zacznijmy więc od przepisów na ciasta i napitki, które potrzebują więcej czasu.

Będzie to więc przepis na nalewkę i małe pierniczki, dalej mak i piernik, a na końcu makowiec.

NALEWKA WIGILIJNA

- 2 pomarańcze lub 4 mandarynki;
- Kawałek imbiru;
- Laska cynamonu;
- Suszona skórka pomarańczowa lub cytrynowa;
- 6 szt. goździków;
- 2 anyżki;
- 2 ziarenka kardamonu,
- 1 l. wódki;
- 200 ml spirytusu 95%;
- 20 dag suszonej żurawiny;
- po 10 dag suszonej: moreli, daktyli, fig, sliwkę, rodzynek, orzechów, migdałów.



1. Pomarańcze (mandarynki) myję, parzę wrzątkiem i kroję w cienkie plasterki.
2. W misce mieszam suszone owoce z przyprawami oraz pomarańcze i przekładam do dużego słoja.
3. Suszone owoce razem z przyprawami dopelniam alkoholem. Mieszam dokładnie i zakręcam szczelnie. Odstawiam na 4 tygodnie, a czasami dłużej. Zależenie jak ładnie w smaku naciąga.
4. Jeśli ktoś lubi słodsze – można dodać do smaku cukru trzcinowego.
5. Nalewkę filtruję, rozlewam do butelek i odstawiam na 2 tygodnie. Zlewam płyn znad osadu, filtruję drugi raz i przelewam do czystych butelek. Im dłużej stoi tym jest lepsza, ale rzadko się udaje przechować ją dłużej niż do Trzech Króli.

Owoce wyłowione z nalewki nie lądują w koszu, byłaby to zbyt duża strata. Układam je w słoikach i w takiej formie są wspaniałymi łakociami dla dorosłych.

Polecam ten przepis, nalewka świąteczna na suszonych owocach wychodzi fantastyczna!

Gdy nalewka dojrzewa pora pomyśleć o wypiekach.

Na pierwszy ogień ciasto na małe pierniczki, które musi „swoje” odczekać.

Pierniczki

- 1 kostka tłuszczu (250 g)
- 4 całe jaja
- ½ kg cukru
- ½ kg miodu (może być sztuczny)
- 1 łyżka sody oczyszczonej, rozpuszczonej w ½ szkl. Przetworzonej wody
- Kakao, korzenie tj. cynamon, gałka muszk., goździki – zmielone (lub przyprawa do piernika w proszku)
- Mąka (do wyrobienia)

Jajka ubić z cukrem, dodać kakao, mąkę, rozgrzany miód, przyprawy i roztopiony tłuszcz. Wszystkie składniki połączyć. Miskę przykryć lnianym ręcznikiem i odstawić w chłodne miejsce na minimum 2 tygodnie.

Następnie ciasto wyłożyć na stół i dalej wyrabiać, dosypując tyle mąki aby ciasto się nie kleiło. Można uzupełnić przyprawami lub dodać kakao.

Wąłkować i wykrawać małe pierniczki, które następnie, po upieczeniu, można dekorować wg uznania (świetna zabawa dla dzieci).

Takie pierniczki znikają bardzo szybko, ale radzę część schować w słoju i dekorować je po Świętach – wówczas jest szansa, że dotrwają do Nowego Roku.

Teraz jest chwila „wolnego” więc można pomyśleć o porządkach i przeglądzie schowanych ozdób choinkowych, a następnie zabrać się za najważniejszą część makowca czyli mak.

Nigdy nie kupuję gotowej masy makowej gdyż wówczas do głosu dochodzi wyobraźnia i zaczynam się zastanawiać „co tam w środku ... mieszka”.

Z makiem jest trochę pracy, ale zapewniam, że warto!!! Zawsze mak, ciasta na makowiec i piernik robię w podwójnej ilości, bo jak widać na zdjęciu – na jednym makowcu się nie kończy. Rodzina i Przyjaciele już na początku grudnia się cieszą...

MAK DO MAKOWCA

- 30 dkg maku
- 2 jajka
- szklanka cukru
- łyżka masła
- 1 słoik miodu (może być sztuczny)
- bakalie (rodzynek, pokrojone migdały, skórka pomarańczowa itp)
- olejek migdałowy (zapach)

Mak przepłukać, zalać wrzątkiem i gotować 10 min. Odcedzić dokładnie i zemleć 3

razy. Dodać cukier, roztopione masło, miód, bakalie i smażyć 10 min. ciągle mieszając. Zdjąć z ognia, wystudzić i wymieszać z żółtkami i białkiem ubitym na pianę (wyrabiać dokładnie, najlepiej sztywną drewnianą kopystką, no ostatecznie ręką lub mikserem), a następnie odstawić w chłodne miejsce na 2-3 dni.

Kolejny krok to...

PIERNIK W FOREMCE BABKOWEJ DO PRZEKŁADANIA POWIDŁAMI.

- 1 szkl. cukru
- 1 słoik sztucznego miodu
- 1 kostka tłuszczu
- 3 całe jajka
- 3 szkl. mąki
- ¼ kwaśnej śmietany
- 2 łyżeczki sody oczyszczonej (rozp. w wodzie)
- korzenie, kawa, kakao, orzechy, rodzynki, skórki – co mamy i lubimy.

Tłuszcz, cukier, miód podgrzać – mąkę wyrabiać w ciepłych rozpuszczonych wcześniej składnikach.

Dodać pozostałe składniki i znów dokładnie wyrabiać. Ciasto powinno być ciemne (jeśli jasne to trzeba dodać kakao, korzenie i suchą kawę).

Znów należy odstawić na 1-2 dni. Później przekładamy do foremek babkowych wysmarowanych tłuszczem i wysypanych tartą bułką lub wyłożonych papierem do wypieków.

Pieczemy bez termoobiegu w temp. 180°C i ok. 1 godz. (piernik na wierzchu powinien pęknąć). Oczywiście sprawdzamy patyczkiem czy w środku jest wypieczony.

Po wystudzeniu piernik dzielimy poziomo na 2-3 części, które smarujemy powidłami śliwkowymi, oblewamy polewą czekoladową i dekorujemy kawałkami orzechów, migdałami lub wiórkami kokosowymi.

Teraz, gdy na pewien czas mamy dość kuchni i usuwania śladów własnej działalności, pora przemyśleć sprawy dotyczące dekoracji domu i otoczenia (nawet jeśli to tylko balkon).

Później z przyjemnością wrócimy do czystej już kuchni i możemy zgromadzić produkty potrzebne do przygotowania ciasta drożdżowego do makowca (pamiętamy, że jeśli zdecydowałyśmy się na podwójną ilość – ciasta też musi być dwa razy więcej)

- ½ kg mąki tortowej
- szklanka cukru
- 2/3 kostki Kasi
- szklanka mleka
- 3 dkg drożdży
- 2 jajka (najpierw żółtka, a białka ubite na pianę dodać na końcu)

Drożdże rozetrzeć z łyżką mąki, łyżką cukru u 2 łyżkami ciepłego (nie gorącego) mleka. Gdy lekko wyrosną dodać ½ pozostałej mąki, wymieszać i zostawić w ciepłym do wyrośnięcia. Potem dodać żółtka, pozostały cukier, mąkę – wyrobić na gładką masę. Stopniowo wlewać roztopiony, ciepły tłuszcz i na końcu białko. Zostawić wszystko do wyrośnięcia.

Ciasto podzielić na dwie – trzy części. (Jest dość rzadkie!) Posypać stół mąką. Ciasto rozwałkować, nałożyć warstwę maku. Wszystko ciasno zrolować, Włożyć do wysmarowanych foremek. Nakłuć widelcem lub patyczkiem gdyż ciasto drożdżowe będzie rosło i „odpychało” mak, a nakłucie odpowietrzy ciasto. Zostawić do wyrośnięcia. Wierzch posmarować mlekiem. Piec w temp. 180 – 200 stopni ok. 50 minut.

Podobnie jak piernik – po wystudzeniu wierzch smarujemy (oblewamy) lukrem i ozdabiamy bakaliami.

Makowiec zawijany w ciasto drożdżowe jest pyszny, ale nie ukrywam – jest przy jego przygotowaniu trochę pracy i nerwów czy drożdże zrobią to co powinny.

Niżej podaję więc wersję łatwiejszą tj.

MAKOWIEC ZAWIJANY W KRUCHYM CIEŚCIE

ciasto:

- ½ kg mąki
- 1 kostka margaryny
- 1/2 szkl. cukru pudru
- 1 łyżeczka proszku
- 1 łyżka śmietany
- 3 jajka (2 żółtka i 1 całe)

Mak:

- ½ kg maku
- 2 jajka
- ½ szkl cukru
- 2 łyżki płynnego miodu (może być sztuczny)
- 1 łyżka masła
- Zapach migdałowy
- Bakalie



1. Składniki posiekać. Szybko zagnieść ciasto. Podzielić na 2 części. Odstawić do lodówki i mocno schłodzić.
2. Mak zalać wrzątkiem na 15 minut. Odścisnąć i przemleć 2 razy. Żółtka utrzeć z cukrem dodać do maku następnie roztopione masło, miód, zapach migdałowy, bakalie. Białka ubić i wmieszać do maku.
3. Każdą część ciasta rozwałkować. Na powierzchnię ciasta nałożyć i rozsmarować masę makową.
4. Zwinąć ciasno w rulon i luźno w papier do pieczenia. Piec ok 30-40 minut w 180 st. C. (zawsze „próbna patyczkowa”).

W nas w domu w zasadzie na tym wypieki bożonarodzeniowe się kończyły. Czasami – gdy pozostało trochę maku i „wyszło” więcej łazanek do wigilijnej zupy rybnej – na stole pojawiała się miseczką klusek z makiem, ale chętnych nie było. Każdy skubnął i ... podziękował.

Inne potrawy to oczywiście wigilijna zupa grzybowa lub rybna (z rodzynkami i karmelem) w niektórych domach zwana karpem w szarym sosie. Również inne ryby smażone, pieczone lub w galarecie. Kapusta z grzybami czy groch. Co region to inne zwyczaje i smaki. Opisane wyżej są z Wielkopolski.

Gdy wszystkie dania są gotowe lub zostały tylko prace wykończeniowe przyszła pora na świąteczny wystrój stołu i przygotowanie opłatków.

Żeby jednak temat przygotowań do Bożego Narodzenia nie był taki poważny, jako że to czas radości, na zakończenie taki żarcik na temat niespotykanego dania z karpia:

Umytego karpia układamy na dnie naczynia. Dodajemy goździki, cynamon, skrapiamy cytryną, a następnie zalewamy szklanką czerwonego wina dodając 100 ml ginu, 100 ml koniaku, 200 ml smirnoffa, 50 ml białego rumu i obowiązkowo 150 ml tequili. Potrawy nie podgrzewamy. Karpia wyrzucamy – nie jest potrzebny, natomiast sos ... Sos jest palce lizać. Uwaga karp musi być martwy, inaczej wypije sos!!!!

Mam nadzieję, że nawet jeśli Czytelnikom powyższe przepisy nie przypadną do gustu, to chociaż się uśmiechną czytając moje komentarze. ■

Przedświąteczna reminiscencja



JACEK KAŁUCKI

„Krok po kroku, krok po krocuku idą święta...” tak jeszcze niedawno śpiewali dziennikarze radiowej Trójki. Tej „Trójki” już nie ma, nastroju świątecznego podejrzewam, że też nie będzie, gdyż wisi nad nami zagrożenie narodowej kwarantanny. Pandemiczny nastrój w czterech ścianach, co chwila jakieś obostrzenia i zbliżający się grudzień skłonił mnie do wspomnień i refleksji...

Była sobota. Grubo po 24-tej jechałem moim „maluchem” zaśnieszoną Aleją Sobieskiego do wynajmowanego mieszkania na Nowogrodzkiej. Na wysokości skrzyżowania z Sikorskiego zauważyłem wóz pancerny. Przeleciały mi przez głowę jakieś myśli, bo w kręgach mówiło się, że władza coś kombinuje. Ale po chwili (nie wiem dlaczego) skojarzyłem wojskowego skota z wielkimi zaspami i odśnieżaniem... Ruch na ulicach był niewielki.

Następnego dnia, 13 grudnia 1981 roku, po ósmej rano, ktoś zadzwonił do drzwi. W progu stała moja koleżanka z jakimś paczkami. Zobaczyłem przerażenie w jej oczach. Powiedziała, że w Polsce wprowadzono... stan wojenny! Paczki, które przyniosła, to niezależne wydawnictwa, które wcześniej kolportowaliśmy. Twierdziła, że jest namierzona i u mnie będą bezpieczne. Wyszła. W pierwszej chwili poczułem strach. Z wojną miałem do czynienia jedynie na lekcjach historii, w książkach, filmach i dziecięcych zabawach. Postanowiłem natychmiast się z kimś skontaktować, ale niestety w domu nie miałem telefonu. Zbiegłem na dół do budki. Nie było sygnału. Spytałem jakiegoś przechodnia, gdzie jest najbliższy automat. Ten spojrział na mnie i warknął:

–Na ramieniu u ZOMO-wca! Coś pan z choinki się urwał?!

Telefony nie działały. Wróciłem na górę. W telewizji na okrągło gadał Jaruzelski i grał Chopina. Nie wiedziałem, co robić...

Po 13 grudnia było wiadomo, kto jest kto. Niektórym ta sytuacja otworzyła oczy, jak



Spektakl w kościele (1982 r.)

w przypadku wybitnego aktora – Tadeusza Łomnickiego. Kiedy 15 grudnia zobaczył, że na Krakowskim Przedmieściu ZOMO ładuje do samochodów profesorów z Polskiej Akademii Nauk, nazajutrz wysłał list do PZPR i dołączył do niego swoją legitymację członkowską: „Rozpocząłem nowe życie. Okres paraliżu, który poraził wprawdzie mój system działania i aktywności, wyostrzył słuch moralny”.

Godzina milicyjna trwająca od 22.00 do 6.00 oraz brak telefonów spowodowały, że życie towarzyskie kwitło jak nigdy! Bankiety i spotkania zaczynały się o dziesiątej, a kończyły – z konieczności nad ranem. Od 1981 do końca lipca 1989 roku przeróżne produkty kupowało się na kartki: cukier, mięso, masło, mąkę, kaszę, kawę, słodycze, ryż, buty, wódkę... Wymieniano się nimi, jak filateliści znaczkami. Ja głównie zbierałem kartki na alkohol, którego po przebytej chorobie nie piłem, ale gorzała była najlepszą „walutą”. Za nią można było załatwić każdą ilość benzyny, która także była reglamentowana. Przez cały stan wojenny jeździłem swoim autem bez przestojów.

Istotnym elementem aktywności wojska w stanie wojennym poza staniem na ulicach przy koksownikach, była działalność komisarzy wojskowych. Nadzorowali oni pracę urzędów, a także całych resortów. W rzeczywistości, byli to ludzie z zerową kompetencją, nieprzygotowani do sprawowania swej funkcji. Namówiony przez kolegów – głównie dla zgrywy, poszedłem do jakiegoś komisarza i... zażądałem mieszkania! Powiedziałem, że dojeżdżam do pracy, do warszawskiego teatru Nowego

z Kalisza (tam byłem zameldowany) prawie 300 kilometrów! Biedny mundurowy wił się i skręcał, chcąc dać mi do zrozumienia, że te prasowe doniesienia o przyznawaniu mieszkań, to wierutne bzdury. Ja niczego „nie rozumiałem”, za to on zmuszony był do uruchomienia całej procedury. Po kilku latach przyznano mi ciasne, ale własne kwatery zastępcze!

Wiele czasu poświęcałem na rzecz Duszpasterstwa Środowisk Twórczych. 1 kwietnia 1982 roku, powstał Komitet Charytatywny. Do grona jego pionierów ze środowiska teatralnego, należeli również: Maja Komorowska, Ania Nehrebecka, Kazimierz Kaczor... Naszą siedzibą był kościół Najświętszej Marii Panny na Nowym Mieście. To była działalność isticie podziemna. Od rana do wieczora siedziałem w piwnicach świątyni na ul. Przyrynek 2. Koordynowałem pracami wszystkich środowisk – naszym, dziennikarzy, muzyków i plastyków. Razem z koleżankami i kolegami sortowałem i wydawałem dary otrzymywane z całego świata. Tu poznałem wielu wybitnych ludzi z innych środowisk twórczych. Między innymi wspaniałego człowieka i dziennikarza Dariusza Fikusa. Uczył nas, jak czytać „Trybunę Ludu” czy „Żołnierza Wolności” – jedyne periodyki, jakie oficjalnie wtedy wychodziły. Warto było znać rozterki władzy – a były one spore!

Ponieważ teatry były pozamykane – nie mówiąc o telewizji czy radiu, coś trzeba było robić i z czegoś żyć. Jako jeden z pierwszych postanowiłem się odwołać do źródeł teatru i wykorzystałem kościół dorealizacji scenicznych. W 6 miesiącu stanu wojenne-

go, w wieży kościoła św. Anny w Warszawie, wystawiłem z grupą kolegów spektakl o Powstaniu Styczniowym, pod tytułem: „Boże coś Polskę czyli strofy roku 1863.” Tego samego dnia pokazaliśmy go w dolnym kościele, św. Stanisława Kostki na Żoliborzu, gdzie poznałem charyzmatycznego, młodego księdza – Jerzego Popiełuszkę. Kiedy po raz pierwszy przyszedłem do niego na plebanię, otworzył mi drzwi jakiś młokos w czarnych dżinsach i w pochłapanym farbą tiszercie. Powiedziałem, że jestem umówiony z ks. Jerzym. Zaprowadził mnie na górę do zagraconego pokoju – chyba trwał remont. Poprosił, abym poczekał, a sam wyszedł. Pamiętam, że na stole leżały czerwone Dunhile. Jaką miałem ochotę zapalić, albo chociaż...wziąć jednego na drogę. Po chwili przyszedł ten sam facet. Usiadł naprzeciw mnie i powiedział:

– Słucham.

Jako stary konspirator stwierdziłem, że jedynie z księdzem mogę rozmawiać na ten temat (chodziło o ustalenie terminu spektaklu).

– Więc słucham.

– Pan jest księdzem Jerzym?! – Spytałem z rozbawieniem, gdyż w dodatku miał śmieszne cętki na twarzy od białej farby.

– Tak się jakoś stało z pomocą Bożą.

Uśmiechnął się i przeszliśmy do konkretnych. Widocznie w czasie rozmowy zerkałem na fajki, bo gdy się zegnaliśmy, powiedział:

– Weź jednego na drogę, bo coś mi się wydaje, że palisz.

Miał rację. Wziąłem... dwa!

Później były kolejne realizacje. Jeździliśmy po kościołach w całej Polsce, bawiąc się w kotka i myszkę z funkcjonariuszami służb bezpieczeństwa. Występowałem między innymi z: Adą Godlewską, Anką Nehrebecką, Hanią Skarżanką, Krzyśkiem Kolbergerem,



Teatr domowy (1982 r.)

Jankiem-Jangą Tomaszewskim, Mieczysławem Voitem...

W równy rok po męczeńskiej śmierci ks. Jerzego wystawiłem spektakl poetycki według własnego scenariusza pt. „Jestem gotowy na wszystko”. Premiera, na której byli rodzice zamordowanego księdza, odbyła się w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej. Później prezentowałem go m.in. Nowej Hucie i w Bydgoszczy, przy wielotysięcznym tłumie wiernych i warkocie helikoptera, który krążył nad świątynią. To było przeżycie nie do opisaniania!

Następnie przyszła kolej na Teatr Domyowy. Wspólnie z Agatą Rzeszewską i Maciejem Pietrzykiem, wystawiliśmy spektakl pt. „Nie zapomnijcie tamtych dni”. Premiera odbyła się w domu u państwa Ireny i Tadeusza Byrskich na ul. Narbutta. Pani Irena – wspaniała jej kreacja w filmie Andrzeja Wajdy „Człowiek z żelaza” jako Matka Hulewicz – była autorką scenariusza. Zaszczycili nas swoją obecnością Anna Walentynowicz i Ernest Bryll, który dostarczył nam wielu nieznanych tekstów, oraz kilka napisanych specjalnie na tę okoliczność.

Nagrywałem także kasety audio. „Pójdźcie za naszą gwiazdą” to program kolędowy według mojego pomysłu. Powstał z pomocą oficyny „Nowa” i wspaniałego kompozytora i pianisty – Jerzego Derfla. Śpiewali: Agnieszka Kotulanka, Krysia Tkacz, Staszek Górka i Wojtek Wysocki. Wiersze mówili Łaniewska, Wawrzono, Dmochowski, Kolberger, Voit i ja. Na kasetach powstawały też książki z drugiego obiegu. Pisałem adaptacje i nagrywałem dla Editions Spotkania.

Stan wojenny przyniósł wiele tragedii, wiele cierpień i łez. Mnie też nie oszczędził. Ale był także wspaniałą lekcją życia. Lekcją przetrwania i możliwością odpowiedzi sobie na wiele pytań, które w innej rzeczywistości nigdy by nie padły. Na własnej skórze dowiedziałem się, co znaczy człowiek, solidarność, uczciwość a nade wszystko... przyzwoitość!

„Bóg się rodzi, moc truchleje...”
Spokojnych i zdrowych Świąt!!!

Juliusz Burgin

*Był grudzień, zbliżały się święta
Szykował się biały sen,
nagle się wszystko urwało,
przyszedł trzynasty dzień.*

*Przerznął w połowie uśmiech,
rozharatał nadzieje
i nikt, nawet ostatni
już się nie śmieje*

*Zbliżały się święta, był grudzień
i nie liczyła się bieda
tylko płomyki adwentu.
Święta przyszły, blade jak kreda*

13.12.81

Juliusz Burgin

A ja nic nie pamiętam!...

*Pamiętasz wieczorne muzyki
jak wiatr za oknem się jeżył,
jak siedmiu krasnali śpiewało,
jak do królowny paż spieszył?
Pamiętasz Tomcia Palucha,
maleńki a jaki sprytny?
A z zapałkami dziewczynka?
A stary czarodziej chytry?*

*A pierwszą choinkę pamiętasz
całą w tańczących sreberkach
kiedy sam Święty Mikołaj
dał ci do buzi cukierka?
Drugiego dnia barszczyk z uszkami
Dziadek jak zwykle nadęty
ale jest ciepło i fajnie
i wszyscy dają prezenty...*

*A czy pamiętasz wuja-świntucha
jak cię przeklinać nauczył?
A ilu cię ciocimi przedstawił -
na palcach by tego nie zliczył.
Aaa... starowinkę z przeciwka?
Taka niewielka, pogięta?...
Czy ty to wszystko pamiętasz?
Bo ja tam nic nie pamiętam...*



Warta przy trumnie ks. Jerzego – Agata Rzeszewska, Jurek Moes i Jacek Kałucki (1984 r.)

45. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni

8-12 grudnia 2020

Trzy konkursy, pozakonkursowe sekcje filmowe oraz wydarzenia towarzyszące, w tym konferencje prasowe, debaty, warsztaty i koncerty – 45. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w całości odbędzie się on-line.

Na platformie VOD FPFF znajdzie się część filmów zakwalifikowanych do konkursów, co wynika z obostrzeń licencyjnych, narzuconych przez dystrybutorów organizatorom Festiwalu. Dostęp do wybranych tytułów będzie ograniczony wyłącznie do grona akredytowanych dziennikarzy.

Duża część zaplanowanych wydarzeń – spotkań, konferencji, koncertów – będzie dostępna on-line dla wszystkich zainteresowanych, nie tylko dla posiadaczy akredytacji.

Czternaście filmów zakwalifikowało się do Konkursu Głównego 45. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych. Są wśród nich 4 pełnometrażowe debiuty reżyserskie i 6 drugih filmów reżyserów.

Filmy w Konkursie Głównym:

- „25 lat niewinności”, reżyseria:
- Jan Holoubek

Tomasz Komenda miał 23 lata, kiedy jego normalne życie zostało brutalnie przerwane. Z dnia na dzień został zatrzymany, wtrącony do więzienia i oskarżony o morderstwo. Kolejne ekspertyzy potwierdziły jego udział w zbrodni, a wszelkie dowody działały na jego niekorzyść. Przez blisko dwie dekady uwięzienia był bity, zastraszany, upokarza-



ny i zdany tylko na siebie. W końcu, po 18 latach odsiadki, na jego drodze pojawili się prokuratorzy i policjant, którzy postanowili odkryć prawdę stojącą za zagadkową sprawą zatrzymanego.

- „Amatorzy”, reżyseria: Iwona Sikieryńska

„Historia zaczyna się w momencie, kiedy teatr KRZYŚKA Biuro Rzeczy Osobistych (tworzony przez niepełnosprawnych intelektualnie aktorów) wygrywa festiwal. Nagrodą, ufundowaną przez zawodowy teatr jest zrealizowanie spektaklu. Wielka radość, wielka szansa, wielkie oczekiwania. Krzysiek z aktorami właśnie pracują nad nową sztuką „Grek Zorba”. Wspaniale by było wystawić ją na prawdziwej scenie. Okazuje się jednak, że dyrektor teatru oferując im współpracę, stawia określone warunki. ...

- „Bliscy”, reżyseria: Grzegorz Jaroszuk

W tym osobliwym komediodramacie ojciec wraz z dwojgiem swoich dorosłych dzieci, które wiele lat temu wyprowadziły się z domu, wyruszają na poszukiwania zaginionej w tajemniczych okolicznościach matki. Podróżują pomiędzy blokami, pomiędzy placem zabaw, a warzywniakiem i wypytują sąsiadów. Skonsolidowana tym dziwnym śledztwem rodzina, poznaje w ten sposób zaskakujące szczegóły z życia zaginionej i dowiaduje się wiele o sobie wzajem i o wadze relacji jakie ich łączą.

- „Jak najdalej stąd”, reżyseria: Piotr Domalewski

Ola to zbuntowana nastolatka, która marzy o własnym samochodzie i większej życiowej samodzielności. Niespodziewane i tragiczne wiadomości z Irlandii, gdzie od lat pracuje jej ojciec sprawiają, że wyrusza sama w daleką podróż. Los przeznacza jej nie lada wyzwanie – w imieniu rodziny ma sprawdzić ciało zmarłego do Polski. „Jak najdalej stąd” Piotra Domalewskiego, podobnie jak debiut reżysera, „Cicha noc”, to słodko-gorzka analiza poplątanych relacji rodzinnych.

- „Jak zostałem gangsterem. Historia prawdziwa”, reżyseria: Maciej Kawulski

W życiu Bohatera liczą się tylko dwie osoby – najbliższy przyjaciel i ukochana kobieta – a światem jego interesów rządzi przemoc. Akcja filmu zaczyna się w latach 70. – już wtedy młody Bohater wie, że adrenalina smakuje bardziej niż mleko w proszku. Z czasem



odkrywa też pragnienie pieniędzy, władzy i bycia ponad prawem. Rozpoczyna się transformacja, a jego gangsterski talent rozkwita. Wspólnie z przyjacielem buduje własną armię. Oparta na faktach historia Bohatera po raz pierwszy pokazuje prawdziwe oblicze polskich mafiosów: zaczynali w kreszowych dresach i stworzyli organizację przestępczą, która przez chwilę panowała nad całym krajem. Finał tej historii nie został jednak napisany pociskami i krwią – czasem słowo rani mocniej niż kula, a miłość i przyjaźń mogą być lekarstwem, nawet w najbardziej okrutnych rękach.





- **„Magnezja”, reżyseria: Maciej Bochniak**
Pogranicze polsko-sowieckie, przełom lat 20. i 30. XX wieku. Po śmierci szefa gangu i głowy rodziny, władza nad przestępczym klanem Lewenfiszów przechodzi wręce jego córki – Róży. Razem ze swoimi siostrami kobieta kontynuuje szemrane interesy ojca i robi wszystko, by oprzeć się rosnącym w siłę sowieckim bandytom, którym przewodzi konserwatywny Lew. Tymczasem w cieniu rywalizacji dwóch potężnych rodzin, nierozłączni bracia – Albin i Albert Hudini – wcielają w życie swój przewrotny plan. Z pomocą uwodzicielskiej Heleny chcą okraść bank, w którym przechowywane są bogactwa Lewenfiszów. Wystarczy jednak kilka złych decyzji, zwykły pech i dwa trupy, by cała misterna intryga została zagrożona. A to zaledwie początek kłopotów, gdyż do miasteczka przybywa właśnie obdarzona genialnym zmysłem śledczym inspektor Stanisława Kochaj. To co wydarzy się wkrótce będzie mieć krwawe i pełne czarnego humoru konsekwencje, które na zawsze wstrząsną pograniczem!
- **„Mistrz”, reżyseria: Maciej Barczewski**
Historia legendarnego pięściarza Tadeusza „Teddy’ego” Pietrzykowskiego, który dzięki walkom na ringu ocalił swoje życie w niemieckim nazistowskim obozie koncentracyjnym i zagłady Auschwitz-Birkenau. Oparty na prawdziwych wydarzeniach dramat przedstawia nieznaną historię polskiego sportowca, który w miejscu zagłady stał się symbolem nadziei na zwycięstwo.
- **„Sala samobójców. Hejter”, reżyseria: Jan Komasa**
Tomek Giemza, student prawa Uniwersytetu Warszawskiego, zostaje przyłapany na plagiacie i wydalony z uczelni. Postanawia jednak zataić ten fakt i nadal korzystać

z pomocy finansowej państwa Krasuckich – rodziców Gabi, przyjaciółki z czasów dzieciństwa. Kiedy oszustwo wychodzi na jaw, skompromitowany chłopak traci zaufanie i życzliwość swoich dobroczyńców. Przepędzony gniewem i żalem, oddzielony od Gabi, w której podkochuje się od lat, planuje odwet na Krasuckich. Okazja do zemsty pojawia się, gdy Tomek zdobywa pracę w agencji reklamowej prowadzonej przez Beatę Santorską. Tam uzyskuje dostęp do najnowszych technologii i tajemnic stołecznej elity.

- **„Sweat”, reżyseria: Magnus von Horn**
Film opowiada o trzech dniach z życia Sylwi Zając, influencerki fitness, która dzięki popularności w mediach społecznościowych zyskała status celebrytki. W internecie ma setki tysięcy followersów, w realu otacza ją grupa lojalnych współpracowników, a na imprezach każdy próbuje do niej podejść i ją poznać. Jednak kiedy jest w domu i wyłącza telefon, zostaje zupełnie sama. Choć Sylwia z łatwością, spontanicznie i bez cenzury dzieli się swoją codziennością z tysiącami nieznajomych, jej prywatne życie w ogóle nie przypomina kolorowego świata z Instagrama.
- **„Śniegu już nigdy nie będzie”, reżyseria: Małgorzata Szumowska we współpracy z Michałem Englertem**
Pewnego mglistego poranka w mieście pojawia się ON – atrakcyjny mężczyzna z prawdziwego, egzotycznego wschodu. Żenia, bo tak brzmi jego imię, ma dar. Jego ręce leczą, a oczy zaglądają w dusze samotnych kobiet. Mężczyzna zatrudnia się jako masażysta na bogatym osiedlu pod miastem. Pracując dla ludzi odgradzonych murem od „gorszego” świata, poznaje ich historie i osobiste dramaty. Wkrótce niezwykłe zdolności Żeni odmienią życie każdego z nich.
- **„Tarapaty 2”, reżyseria: Marta Karwowska**
Kiedy z Muzeum Narodowego w Poznaniu znika perła kolekcji – „Plaża w Pourville” Claude’a Moneta – a o kradzież zostaje fałszywie oskarżona ciotka Julki, dzieci muszą odnaleźć obraz i odkryć tożsamość prawdziwego złodzieja. Zgrany duet rozpoczyna śledztwo, ale na horyzoncie pojawia się Felka, zwariowana 12-latką, a razem z nią kłopoty. Opowieść o zazdrości i zaufaniu przeplata się z rozwiązywaniem zagadki kryminalnej. „Tarapaty 2” to historia dla całej rodziny, która mówi o tym, że nie da się uwierzyć w przyjaciela, dopóki nie uwierzy się w siebie.
- **„Zabij to i wyjedź z tego miasta”, reżyseria: Mariusz Wilczyński**
Animacja Mariusza Wilczyńskiego „Zabij to i wyjedź z tego miasta” to dużo

więcej niż film: to 14 lat życia poświęconych na realizację tego niesamowitego, osobistego projektu. To przyprawiająca o dreszcze podróż w przeszłość własną i kraju, wywoływanie duchów ludzi i miejsc, terapeutyczna opowieść o rodzinie i wzruszający hołd dla przyjaźni. Film Wilczyńskiego wskrzesza dzieciństwo z całym jego bagażem udręk i zachwytów, przywołuje tych, którzy odeszli, by dać im nowe życie. Zanurzony w przywołanych z pamięci detalach, barwach, dialogach, dźwiękach, sytuacjach, głosach, „Zabij to...” staje się kroniką PRL-owskiego dzieciństwa i młodości przeżytej w czasach transformacji, opowieścią o zmieniającej się Polsce, o szarżynie nieoczekiwanie nabierającej rumieńców.

- **„Zieja”, reżyseria: Robert Gliński**
Rok 1977. Ksiądz Jan Zieja, współzałożyciel Komitetu Obrony Robotników zostaje wezwany na przesłuchanie. Oficer służb bezpieczeństwa Grosicki nakłania go do współpracy. Ksiądz odmawia. Grosicki nie daje za wygraną. Rozpoczyna się pojedynek dobra ze złem. Rozmowy duchownego z funkcjonariuszem stają się podróżą po barwnym życiu księdza, obrazem jego niezłomnej postawy oraz opowieścią o najważniejszych wydarzeniach polskiej historii XX wieku.
- **„Żużel”, reżyseria: Dorota Kędzierzawska, producent: Arthur Reinhart**
Mistrz motocyklowy Lowa jest obiektem westchnień kobiet i źródłem zazdrości rywali z toru. Pogodny, miły dla ludzi, „zwyyczajny”, ma frajdę z życia i tego, co robi. Jednak szelmowski uśmiech chłopaka skrywa codzienne zmagania ze strachem, widmem kontuzji i wypadków na żużlowych stadionach. Wszystko komplikuje się jeszcze bardziej, kiedy na drodze Lowy staje śliczna Roma. Czy zakochany w prędkości i motorach zawodnik, dla którego sport jest nie tylko szaleńczą, młodzieńczą pasją, ale też ucieczką od szarej rzeczywistości, znajdzie w swoim sercu miejsce na prawdziwą miłość?

Trzymamy kciuki za powodzenie Festiwalu i czekamy na nowe filmy. Tym razem Scena Polska w Holandii, jak i pozostali organizatorzy zagranicznych festiwalu, „ogłądać” będą filmy w domu. Mam jednak nadzieję, że te najlepsze, nagrodzone obejrzymy wspólnie z widzami w Holandii podczas przyszłorocznej Polskiej Wiosny Filmowej lub nowego przeglądu, będącego kontynuacją naszych tradycyjnych, wiosennych przeglądów filmowych w Holandii.

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ

Festiwal Filmów Polskich w Los Angeles



WLADEK JUSZKIEWICZ

Jarosław Iwaszkiewicz powiedział kiedyś: „Dzwon polskiej kultury musi być ciągle wykopany, bo piasek go zakopał, zakopuje i będzie go zakopywał. Potrzebuje nieustannego odkopywania.”

To jest dokładnie to, co robią organizatorzy festiwalu filmów polskich na Świecie. Przez ostatnie dwadzieścia jeden lat robimy to w Hollywood.

Właśnie zakończył się 21 Festiwal, tym razem w wirtualnej formie. Przez te 21 lat pokazaliśmy 1180 filmów: 482 fabuły, 299 krótkich filmów, 228 dokumentów, 156 animacji i 14 teatrów telewizji. Odwiedziło nas 350 gości z Polski, 574 gości z Hollywood. Filmy oceniało 187 jurorów w pięciu kategoriach: fabuły, krótkie filmy, dokumenty, animacje i debiuty muzyczne. Wyróżniamy również młode talenty z Polski nagrodą im. Piotra Łazarkiewicza. Nagrodę Poli Negri wręczamy niepolskim twórcą za współpracę z polskimi twórcami lub



Rok 2007 – Pierwsza Dama Maria Kaczyńska, Ambasador Janusz Reiter i Wladek Juszkiewicz w Belveder, rezydencji Yoli Czaderskiej-Hayek

za zagrania polskiego charakteru. Od paru lat wręczamy nagrodę dla artysty polskiego pochodzenia za jego osiągnięcia. Przez jakiś czas wręczaliśmy Nagrodę Kodaka studentom operatorki z polskich szkół

filmowych. Przekazaliśmy 325 plakatów polskich filmów do Biblioteki Akademii Sztuk i Nauk Filmowych. Zdobywanie plakatów nie było zawsze łatwe. Uczestnicząc w Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni często chodziłem po korytarzu Teatru Muzycznego i zdejmowałem je z okien.

To tylko liczby, ale to może dać obraz naszych wysiłków i godzin, które były poświęcone promocji Polski, polskiej kultury, polskiej historii i polskiej kinematografii w Hollywood, stolicy światowego kina.

Współpracujemy z międzynarodowymi i krajowymi festiwalami filmowymi w Los Angeles oraz promujemy polskie filmy zgłoszone do Oscarów*. Festiwal Polskich Filmów w Los Angeles to okazja do uczczenia polskiego wkładu w kinematografię oraz zwiększanie świadomości na temat filmów i filmowców z Polski. Łącząc ludzi ze wszystkich stylów życia, to wydarzenie pomaga budować mosty wzajemnego zrozumienia i szacunku. Festiwal celebrytuje twórczą ekspresję i obejmuje różnorodność wizji i punktów widzenia, a doskonałość filmów jest zasadą przewodnią przy ich wyborze. Nasz Festiwal pokazuje, że kreatywność nie zna granic rasy, koloru skóry, języka, religii, orientacji seksualnej czy tradycji. Poprzez filmy ludzie widzą się nawzajem, słyszą siebie nawzajem, uczą się o sobie nawzajem, a co za tym idzie rozumieją się nawzajem.

Nasza strona internetowa www.polish-filmmla.org, to prezent od Roberta Wierzbickiego, Polaka mieszkającego w Niemczech. Znajdują się na niej wszystkie filmy pokazane przez te 21 lat. Są tam informacje o filmach i reżyserach pokazywanych filmów, jak i gościach, którzy odwiedzili nas w Los Angeles. Na początku była jedyną angielską stroną, gdzie można było znaleźć informacje o polskich filmach i twórcach po angielsku.

Otwarcia Festiwalu odbywają się w prestiżowych miejscach związanych z Hollywood: W siedzibie Amerykańskiej Akademii Telewizyjnej, Amerykańskiego Związku Scenarzystów, Amerykańskiego Związku Reżyserów oraz w Egyptian Theatre na Bulwarze Hollywood. Polski hymn narodowy wykonywany jest przez LIFE Choir, amerykański chór gospel.

Od redakcji:

**AUTOR JEST TWÓRCĄ I HONOROWYM
DYREKTOREM POLISH FILM FESTIVAL
LOS ANGELES**



Rok 2008 – Ed Harris z Nagrodą Poli Negri za współpracę z Agnieszką Holland



Bannery festiwalowe

„Jak się nie da, to się da!”

Film dokumentalny „Efekt motylka” w reż. Jarosława Szmidta

Film dokumentalny „Efekt motylka” to poruszająca opowieść o miłości, poświęceniu i heroicznej walce najbliższych o zdrowie i życie dziewczynki, a także solidarności tysięcy ludzi, którzy uwierzyli w moc pomagania. Piękna historia, która niesie nadzieję i przywraca wiarę w ludzi – jest dostępna na platformach VOD.

Zuzia, jej rodzice i siostra próbują być normalną, szczęśliwą rodziną. Ich szczęście blokuje dramat – dziewczynka cierpi na jedną z najcięższych genetycznych chorób skóry – EB. Wielu nazywa Zuzię „małym motylkiem”, ponieważ jej skóra jest wrażliwa, jak skrzydła motyla – po dotknięciu rozpada się. Rany tworzą się nie tylko na ciele – także w organach wewnętrznych, w przełyku, powodując codzienny, nieustający ból, porównywalny do oparzenia wrzątkiem. Dodatkowo problemem są anemia, zarastający przełyk, przykurcze rąk i zrastające się palce. Całym światem dziewczynki jest rodzina: tata – osobisty pielęgniarz i czuły pocieszyciel, mama – opanowana, skupiona na większych zadaniach wojowniczką, siostra – najlepsza przyjaciółka, towarzysząca zabaw i kłótni, genialnie odwracająca uwagę Zuzi od choroby. To właśnie dzięki nim Zuzia z niespotykaną siłą, optymizmem i poczuciem humoru walczy o każdy dzień.

Po latach nieustannej walki jedynym ratunkiem jest innowacyjna, ale bardzo ryzykowna terapia w USA, polegająca na przeszczepie szpiku i komórek macierzystych od siostry



Jarosław Szmidt

Zuzi. Barierą jest astronomiczny koszt leczenia – 6 mln złotych, ale dzięki mediom, fundacjom oraz niespotykanej fali empatii i zaangażowaniu tysięcy ludzi udaje się zebrać potrzebną kwotę w rekordowym czasie. Była to pierwsza tak spektakularna zbiórka w Polsce, która przetarła szlaki dla kolejnych niezwykłych fal ludzkiej pomocy i dowodów empatii.

To właśnie wtedy Jarosław Szmidt – reżyser i scenarzysta widząc w telewizorze ujmującą dziecięcą prośbę o pomoc wówczas 7-letniej

Zuzi Machety, przekonał się, że w tej nie prostej historii drzemie wielkie pozytywne przesłanie, z którym warto dotrzeć do szerszej widowni: „(...) pokazanie wszystkim innym walczącym małym pomagaczom, sensu i wartości pomagania. Ponieważ razem mają wielką moc!” – w słowach twórcy nie brakuje emocji. Zbiórka społeczna na rzecz Zuzi była zbiórką historyczną – rozpowszechniła sposób społecznego zaangażowania na Siepomaga.pl i możliwość realnej pomocy potrzebującym.

Zdjęcia do filmu rozpoczęły się wiosną 2015 roku. Autor filmu towarzyszył z kamerą dziewczynce i jej rodzinie przez 5 lat, rejestrując zarówno ważne momenty życia rodziny Machetów jak i codzienne sytuacje, w których bohaterowie mimo wielkiej tragedii każdego dnia odkrywali swoje szczęście i dzielili się nim. Opowieść jest poszerzona poprzez telewizyjne archiwalia, materiały prasowe, internetowe oraz przestrzeń social mediów, które pełnią funkcję „okna na świat” dla mamy Zuzi, a także fragmenty korespondencji z reżyserem.

Film wzbogaca subtelna muzyka autorstwa laureata Oscara – Jana A.P. Kaczmarka, znakomicie podkreślająca delikatność i emocjonalną warstwę obrazu.

Film dostępny od teraz na platformach: vod.tvp.pl, CANAL+, NC+Go, VECTRA, UPC, PLAY, ORANGE, PLAYER

Kiedy w Polsce zostaną otwarte ponownie kina, film będzie również dostępny na dużych ekranach. **ARS IMAGO**



Ojciec dziewczynki



Matka dziewczynki

Przygoda z kruchością kostiumu



IRENEUSZ DOMAGAŁA

Jako projektanta „mody papierowej” wylan-sował mnie reżyser Stefan Mroczkowski w swoich telewizyjnych programach rozrywkowych. Był rok 1992 i dałem się ponieść „nieobojętności kostiumu papierowego”, kostiumu niekonwencjonalnego, powstającego z materiałów ulotnych jak papier pakowy czy celofan, gazety, serwetki śniadaniowe, tektury, gąbki, taśmy wideo, listwy piankowe, folie. Kruchość takich materiałów skazywała projekty kostiumowe na krótki żywot. Ubieranie aktorek i modelek w takie kostiumy było jak oklejanie paczek z napisem „ostrożnie”. Często były to kostiumy jednorazowe, w których modelka wystąpiła na wybiegu czy w czasie zapisu telewizyjnym i po rozebraniu jej nie było czego zbierać. Ale na szczęście rodziły się nowe pomysły i nowe wyzwania materiałowe. Na początku lat dziewięćdziesiątych mogłem być „pierwszym” w tej dziedzinie projektowania. Obecnie moda na materiały z recyklingu jest powszechna, by przywołać niektóre realizacje kostiumowe Aleksandra McQueen’a. Materiały z odzysku często były



„Infantka”

fot. Robert Frąckowiak

powodem powstania kostiumu. Zgrzebność i lśnienie. Przezroczystość i krycie. Ciężkość i zwieźność. Błysk i matowość – to biegunowe opozycje dla wydobywania kontrastów, które wspomagała jeszcze faktura uzyskiwana ze sposobu składania, wiązania, gięcia, nacinania i przeplatania materii. Moja fascynacja kostiumem z materiałów niekonwencjonalnych trwa nadal. Kostiumy stały się elementem wystaw. Ich niepowtarzalność nadal fascynuje mnie i widza. Stały się również zdolne do użytku wielokrotnego, bo konstruowane są jako obiekty „mody wysokiej” – Haut Couture! ■



Bueno Aire

fot. autor



Celofanowa mgła

fot. autor

Z cyklu „Maski”



A la Cleas Oldenburg



A la Miyake Issey



W duchu halloween



Grace Wychowańska & Carrie Meijer
zapraszają
od 17 grudnia 2020 do 3 stycznia 2021
Exhibition Untitled TZT053
Galeria BOS FINE ART Den Haag
Korte Vijverberg 2, 2513 AB Haga
www.bosfineart.com



O radości



MONIKA STĘPIEŃ

Tak, o radości właśnie. Więc jeśli nie lubisz banałów w stylu: „hej, uśmiechnij się” to po prostu nie czytaj dalej!

Uśmiech nie gościł kiedyś na mojej twarzy zbyt często. Bardziej naturalnym grymasem wydawało mi się zaszepienie, co często nazywałam skupieniem, a tych, którzy na „dzień dobry” pokazywali mi w uśmiechu zęby trzonowe odganiałam jak najdalej

od siebie. Sprzedać coś chce, nienormalny jakiś, zmartwień nie ma, oszust.

O ironio 12 lat temu ląduje w Holandii. Kraju nie tylko tulipanów, wiatraków, śledzi czy marihuany. Kraju, który mnie od początku ujął serdecznością. Tak wiem, niebywale powierzchowną i często pozorną, ale serdecznością. Przecież ja tych ludzi widzę jedynie mijając na ulicy. To chyba nie powinno mnie interesować, w jakim stopniu ten gest jest szczerzy? Większości nie spotkam nigdy więcej, to dlaczego nie można obdarzyć ich uśmiechem? A jeśli to sąsiad, którego widzimy codziennie idąc do pracy?

Ostatnio policzyłam, że jedynie schodząc rano do garażu, aż siedmiokrotnie (!) wymieniam serdeczne „goedemorgen, (czasem: hoe gaat het?)”. Jeszcze kiedyś moja polska natura kisiłaby się wtedy w słoiczku z ogórkami na widok tak – wydawałoby się – wymuszonej serdeczności. A to właśnie

tę cechę Holendrów uwielbiam najbardziej (choć muszę przyznać, że nie będzie ich wiele).

Pamiętasz, drogi czytelniku, kiedy po raz pierwszy, po przeprowadzce do nowego miejsca, ktoś Cię rozpoznał i serdecznie przywitał? Bo ja tak! Pamiętam jak wtedy zrobiło mi się przyjemnie, bo dzięki temu już nie czułam się tam nowym przybyszem, a częścią społeczności. Pogoda ducha ułatwia codzienną egzystencję. Czasem taki uśmiech, ot miły gest potrafi zmienić cały dzień, a niekiedy życie. Pamiętajmy o tym!

Jestem zdania, że dobra energia przyciąga dobrą energię. Jeśli chodzimy zaszepieni (sorry, skupieni) to taką właśnie aurę i takich ludzi do siebie zapraszamy. Dlatego szanowni Państwo jest praca domowa! Jeden dodatkowy uśmiech dziennie i codziennie jeden więcej. Bądźmy dla siebie miłsi!

Nad Scheveningseweg unosi się duch poetów



**JOLANTA
VAN GRIEKEN-BARYLANKA**

Z mojego ukochanego Scheveningen prowadzi wiele dróg do centrum Hagi. Ale droga zwana Scheveningseweg, czyli „Gościniec/Droga/Schevenigen” jest mi drogą najbliższą. Nie tylko dlatego, że prowadzi przez piękny Lasek Scheveningen, do Pałacu Sprawiedliwości. Ale dlatego, że tę drogę zaprojektował poeta. Nazywał się Constantijn Huygens (1596 – 1687). A odkrył ją dla mnie drugi poeta – Zbigniew Herbert (1924-1998).

„Wystarczy byle jaki pagórek, aby objąć wzrokiem cały kraj – wszystkie jego rzeki, łąki, kanały i czerwone miasta – niby wielką mapę, którą można przybliżyć i oddalać od oczu” – tak pisał o Holandii Zbigniew Herbert w swoim cudownym zbiorze esejistycznym „Martwa natura z wędzidłem”, który ukazał się w 1993 roku.

Ja za każdym razem, kiedy czytam eseje Herberta, mam wrażenie, że jestem ślepa. Nie widzę połowy tego, co zobaczył Herbert. Nie zwróciłabym uwagi także na Scheveningseweg, gdyby nie polski poeta, który podróżował po Holandii wielokrotnie.

„Martwa natura z wędzidłem” to podróż do XVII-wiecznej Holandii, ogarniętej pasją kolekcjonowania obrazów. Cała książka jest poświęcona malarstwu niderlandzkiemu z tego okresu. „Czym jest światło Holandii, tak jasne dla mnie w obrazach, a nieobecne w bezpośrednim otoczeniu? Pewnego razu postanowiłem poświęcić cały dzień studiom meteorologicznym” – pisał Herbert, który to szczególne światło „studiował” nad morzem w Scheveningen. A dostał się tam jadąc oczywiście przez Scheveningseweg. I nie byłby wnikliwym obserwatorem, gdyby przy okazji nie odkrył, że tę drogę zaprojektował w XVII wieku jego duchowy kolega.

Constantijn Huygens był człowiekiem wszechstronnym. Poeta, kompozytor, dyplomata, mecenas i znawca sztuki,



Scheveningseweg na starej pocztówce. Źródło: Hespdamse Tramweg Maatschappij – hespedam.nl

architekt. Jest uważany w Królestwie Niderlandów za jednego z największych poetów Złotego Wieku. Był także sekretarzem księcia Fryderyka Henryka Orańskiego i księcia Wilhelma II Orańskiego. Należał do intelektualnej elity Europy. Jego dom w Hadze był miejscem spotkań wybitnych umysłów tamtych czasów, bywał tam także Kartezjusz, z którym

Constantijn pozostawał w bliskich, przyjacielskich stosunkach.

Huygens nie tylko był inicjatorem budowy utwardzonej drogi, która połączyłaby Hagę z Scheveningen, ale już w 1653 roku przedstawił plan jej budowy. Miała być prosta, utwardzona, po bokach obsadzona drzewami i miała przecinać wydmę.

Choć w XVII wieku w samych miastach były ulice wyłożone kamieniem, to jednak



Scheveningseweg w 1712 roku. Szkic, który wykonali geodeci Nicolaas i Joacobus Kruchius, został pokazany szerszej publiczności podczas wystawy zatytułowanej Zainspirowani wydmami, zorganizowanej przez Muzeum w Scheveningen w 2015 roku, z okazji 350 lecia Scheveningseweg. historiek.net/

brukowanych dróg pomiędzy wioskami i miasteczkami nie było. Dlatego o Scheveningseweg mówi się, że była to pierwsza utwardzona droga w Holandii wybudowana poza terenem zabudowanym, łącząca dwie miejscowości. Wcześniej te dwie miejscowości łączyły ścieżki wydymowe, zasypane często przez piasek. Trudno było przez nie przejść. Pionierskie było także poprowadzenie drogi prosto przez wydmy.

Dla poety nowa droga była bardzo ważna, gdyż miała połączyć Hagę z małą rybacką wioską – Scheveningen. Miało to ogromne znaczenie dla transportu ryb do miasta.

Poeta wiedział, że po wybudowaniu nowej drogi również burżuazja haska i inni mieszkańcy Hagi będą wybierali się dorożkami na jeden dzień do Scheveningen. I tak się stało, Scheveningen stało się modne. Nazywano je Saint-Tropez Holandii.

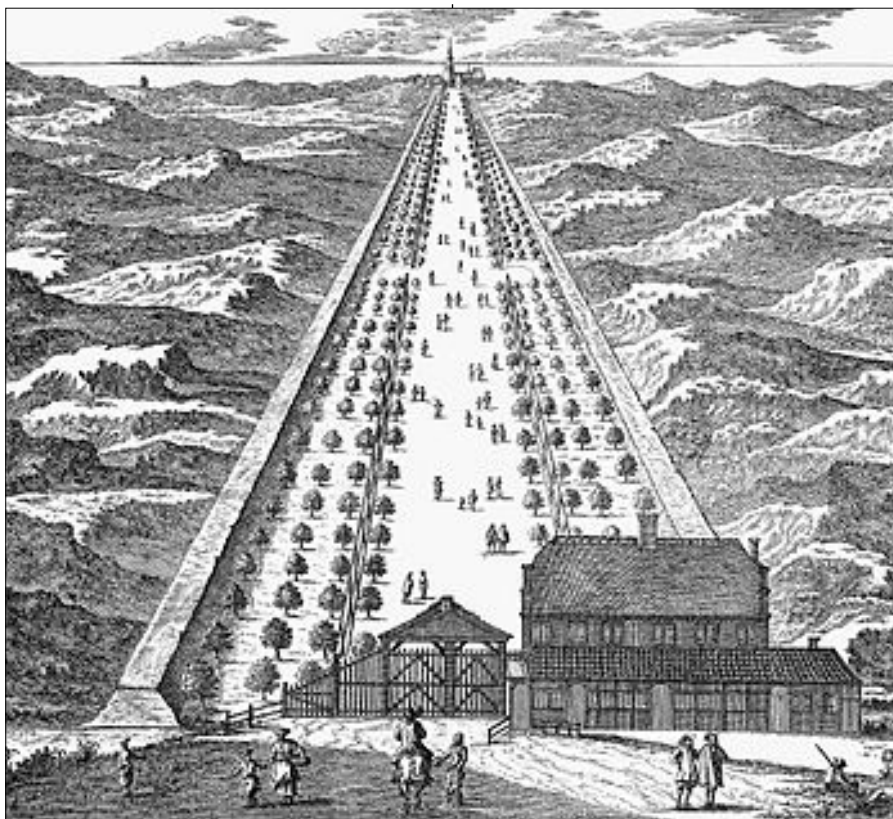
Scheveningseweg była na tyle szeroka, że mogły się obok siebie zmieścić dwa wozy. Z kolei brzegi zostały tak podniesione, aby piasek z wydym nie mulił drogi. Na końcu drogi od strony Hagi zbudowano punkt poboru opłat. Myta nie musiały płacić tylko żony rybaków ze Scheveningen, gdy szły na targ do Hagi.

Budowę drogi ukończono w 1666 roku. W dokumentach zapisano, że wybudowano ją według projektu technicznego geodety Johana van Swieten. Jednak główny projektant, Constantijn Huygens, sam się przypomniał. Z entuzjazmem napisał wiersz „De Zee-straet” (1667) o swoim zaangażowaniu w powstaniu drogi. Tym razem to on nie wspomniął nic o geodecie, za to ironicznie zaznaczył, że spodziewał się podziękowań od rządu. Poeta doczekał się uznania. Punkt poboru opłat został później nazwany Huygenspoort, a w 1897 roku wzniesiono w pobliżu pomnik upamiętniający poetę-architekta.

Po zaprzestaniu poboru opłat w 1888 roku brama celna, która była zbyt wąska, została przeniesiona do Lasku Scheveningen, naprzeciw wejścia na cmentarz katolicki Sint Petrus Banden. Nieco dalej w stronę Hagi przy tej historycznej drodze znajduje się też cmentarz żydowski, założony w 1690 roku.

W XVII wieku wzdłuż Scheveningseweg wybudowano kilka wiejskich rezydencji. Jedną z nich wybudował dla siebie Jakob Cats. Po jego śmierci budynek nazwano Catshuis. Jest to obecnie oficjalna rezydencja premiera Holandii. Ale od 1963 roku służy do organizowania spotkań politycznych i przyjmowania oficjalnych gości. Dwie ostatnie rezydencje wiejskie zostały rozebrane na początku XX wieku, na ich miejscu powstał Pałac Sprawiedliwości.

Niestety, Scheveningseweg ma też swoją ciemną historię. Przez wieki wzdłuż



Scheveningseweg

Źródło: nl.wikipedia.org

drogi stawiano szubienice, na których wieszano przestępców. Czasami ciała wisiały tam przez bardzo długi czas, jako środek odstraszenia. Te ponure „budowle” zniknęły dopiero pod koniec XVIII wieku.

W XIX wieku zbudowano drogi przecinające Scheveningseweg. Wzdłuż drogi zbudowano również tor tramwajowy i ścieżki rowerowe. Niedawno drogę generalnie wyremontowano, wymieniono tory kolejowe, wycięto chore drzewa, po-

sadzono nowe. Nie ma już dorożek czy starych wozów, ani mleczarza ciągnącego swój wózek z mlekiem. Nie ma też śladu po wydymach, gdyż zarosły drzewami, utworzył się park. Tylko w Lasku Scheveningen widać ślady po wydymach – to pagórkowaty teren.

Na jednym z takich pagórków „stał” polski poeta Zbigniew Herbert. I zobaczył więcej. To dzięki niemu, mogłam przybliżyć ciekawą historię drogi, o której mówi się, że jest Cudem Świata w Scheveningen. ■



Na marginesie lektur



EUGENIUSZ BRZEZIŃSKI

Chcę się dzisiaj podzielić wiadomością, która sprawiła mi autentyczną, osobistą satysfakcję. Rzadkie to w ostatnich czasach uczucie, bo jeśli już, to chyba częściej zmagam się z emocjami typu wściekłość, rozpacz, współczucie, bezsilność. Nie pytajcie, dlaczego. Jak nie wiecie, to trudno. Ale myślę, że doskonale wiecie.

W poprzednim numerze Kwartalnika pisałem o refleksjach związanych z lekturą pewnej książki. Książki historycznej, opisującej życie byleż nadzorczyńi obozów koncentracyjnych Ravensbruck i Auschwitz-Birkenau, niejakię Johannę Langefeld. Pisałem ogólnie o obojętności na dziejące się wokół nas zło, bo takie



właśnie myśli naszyły mnie po przeczytaniu „Naszej pani z Ravensbruck” Marty Grzywacz. Zapytacie: No dobrze, ale skąd nagle ta „osobista satysfakcja”. Otóż właśnie dzisiaj, 26-go listopada, szacowne gremium historyków zrzeszonych w Fundacji Historia i Kultura ogłosiło wyniki dorocznego konkursu na najlepszą książkę historyczną roku 2019-2020. Fundacja ta przyznaje Nagrodę Klio (jak wszyscy wiemy, była to Muza „odpowiedzialna” właśnie za historię) w czterech kategoriach: autorskiej; monografii naukowej; edytorskiej i Varsawiana. Na konkurs w tym roku przysłano ponad 220 książek i dobrze to świadczy o zainteresowaniach Polaków historią, choć trzeba przyznać, że kryminały sprzedają się lepiej.

W kategorii autorskiej przyznano trzy nagrody. I tak, jak się już zapewne większość, która do tego momentu doczytała, domyśliła, nagrodę pierwszego stopnia otrzymała Marta Grzywacz za książkę „Nasza Pani z Ravensbruck. Historia Johannę Langefeld”, wydawnictwa WAB. Przyznacie, że mogę mieć wszelkie powody do osobistej satysfakcji, ba, czuję się trochę tak, jakbym to i ja dostał kawałek tej nagrody.

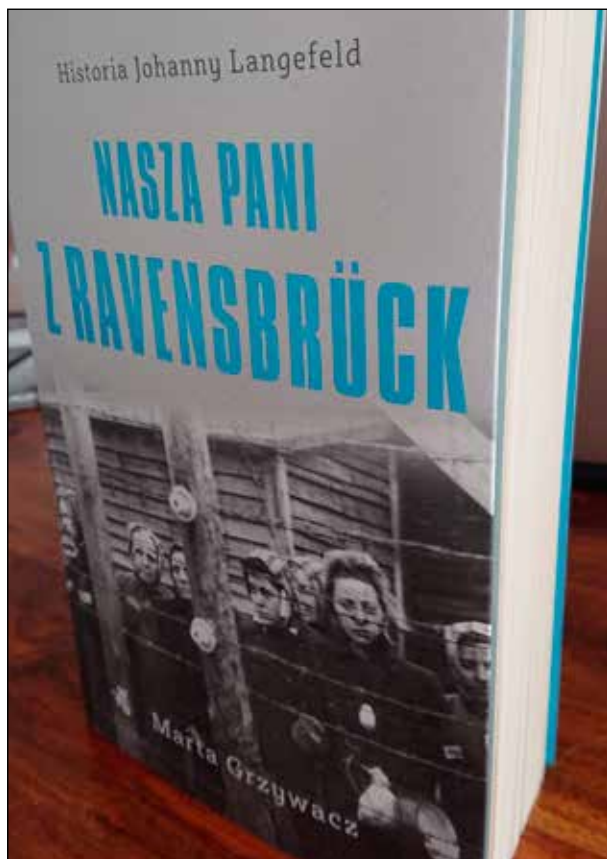
Dla porządku pozostaje odnotować, że nagrodę II stopnia otrzymał Andrzej Mencwel za książkę Przedwiośnie czy potop. Nowe krytyki postaw polskich (Wydawnictwo Krytyki Politycznej), a nagrodę III stopnia Wojciech Bonowicz za książkę Biografia (Wydawnictwo Znak) (biografia księdza J. Tischnera).

Wszystkim laureatom chcielibyśmy serdecznie pogratulować, najserdeczniej jednak pani Marcie Grzywacz. Jej wielkiego sukcesu w uzyskaniu tej jakże prestiżowej nagrody. ■

Terra Deflorata

dałeś nam Panie
 cud wszechświata
 owoc wszechbytu - Ziemię
 człowiek
 brutalny technokrata
 gwałci jej przeznaczenie
 dałeś nam Panie
 zbóż rodzaje
 i wielobarwne kwiaty
 człowiek
 wytwarza nieurodzaje
 Terra Deflorata
 dałeś nam Panie
 źródła wody
 cud życiodajnej gleby
 człowiek
 rozmnożył własne trzody
 w iluzji sił potrzeby
 dałeś nam Panie
 sny bezpieczne
 schroniłeś przed zatrącią
 człowiek się wcielił
 w armie sprzeczne
 Terra Deflorata
 dałeś nam Panie
 nad bogactwa
 dar powszedniego chleba
 człowiek
 w obsesji ziemioładztwa
 urąga łasce nieba
 dałeś nam Panie
 święte prawa
 nad ksiąg elaboraty
 człowiek
 przemocą się napawa
 Terra Deflorata
 dałeś nam Panie
 słowo dźwięczne
 nad grzmiących trąb hejnały
 człowiek
 oracje swe niezręczne
 ozdabia w komunaty
 dałeś nam Panie
 dar tworzenia
 dobra wśród bliźnich świata
 zbaw nas od kłamstwa
 złoczyńienia
 O! Terra Deflorata!!!

1989 Czesław Niemen



O kulturze sprzątania w Niderlandach



GRAŻYNA GRAMZA

Miotła pewnie skojarzy nam się z niezbędnym atrybutem czarownicy lub grą w Quidditcha w serii o Harrym Potterze. Jak się zastanowimy, to przypomniemy sobie kilka powiedzeń z nią w roli głównej. W Niderlandach na przykład przysłowie „Over de bezem getrouwd zijn” możemy przetłumaczyć jako: „Być zaślubionym nad miotłą”, a to oznacza życie razem bez ślubu. Inne porzekadło: „De bezem uitsteken”, to po polsku: „Wystawiać miotłę” czyli oddawać się uciechom cielesnym. Na obrazach holenderskich mistrzów miotła symbolizowała oczekiwanie na kochankę. Ale miotła może też mówić o kobiecych cnotach i symbolizować obowiązki domowe. Żartobliwie może być bronią, którą kobieta poskramia męża. Miotły to także symbole porządku moralnego, kiedy na przykład służąca na obrazie wymiata nimi grzeszne przedmioty, choćby karty do gry. Niestety miotła stała się również narzędziem propagandy i to tej złowroziej, faszystowskiej. „De Bezem. Fascistisch weekblad voor Nederland” („Miotła. Faszystowski Tygodnik Holenderski”) było czasopismem organizacji o tej samej nazwie, którą założył w 1928 roku w Utrechtcie Hugo Sinclair de Rochemont. Niestety retoryką porządku nadal posługują się ci, którzy chcą „sprzątać” jednostki niepasujące do społeczeństwa- osoby LGBT, feministki, uchodźców...

Okazuje się, że miotła i robienie porządku może być tematem poważnej pracy naukowej.

W październiku bieżącego roku ukazał się w Królestwie Niderlandów przekład książki „Miotła i krzyż. Kultura sprzątania w dawnej Holandii, albo historia pewnej obsesji”, której autorem jest Piotr Oczko, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Nazwisko autora jest znane polskim miłośnikom „kraju tulipanów”, bo od dwóch lat na łamach miesięcznika „Znak” ukazują się jego eseje na temat kultury dawnej Holandii. Badania naukowe Piotra Oczki obejmują, oprócz kultury, m.in. literaturę krajów nider-

landzkojęzycznych. Z racji swoich zainteresowań sztuką, należy on do międzynarodowego stowarzyszenia kuratorów i historyków sztuki holenderskiej i flamandzkiej CODART. Kilkakrotnie był gościem uniwersytetów w Niderlandach.

„Miotła i krzyż...” jest jego pracą habilitacyjną. W rozmowie z Zofią Zalewską, kiedy siedem lat temu książka ukazała się w Polsce, zdradził, że przeczytał ponad 500 różnych relacji z podróży do Niderlandów, z czego 120 wykorzystał. Materiał graficzny, który autor zgromadził to dwa tysiące mioteł na obrazach i rysunkach. Oczywiście interesowały go nawiązania do robienia porządku w piśmiennictwie, co stało się treścią jego pracy. Piotr Oczko, we wspomnianym wywiadzie, mówił, że początkowo chciał pisać tylko o XVII wieku ale temat tak go wciągnął, że postanowił rozszerzyć ramy czasowe swoich badań. Książka jest bogato ilustrowana, co zawdzięcza my dodatkowemu wysiłkowi autora. Wspomina, że napisał ponad dwa tysiące listów i prób o bezpłatne wykorzystanie obrazów w publikacji. Dzięki temu mamy okazję zobaczyć dzieła, na które nie zwrócilibyśmy może uwagi w galeriach lub nie mielibyśmy na to szans, bo są rozrzucone po całym świecie.

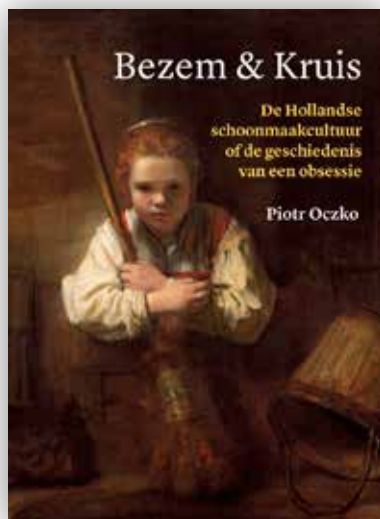
Książka o kulturze sprzątania napisana przez Polaka mogła ukazać się po niderlandzku dzięki tłumaczowi, który podobnie jak autor, zajmuje się przeszłością. Paul Hulsenboom jest historykiem kultury i literatury. Studiował klasykę, literaturoznawstwo i edukację na Uniwersytecie Radboud w Nijmegen. Był nauczycielem w liceum. Obecnie jest doktorantem na Wydziale Języka i Kultury Holenderskiej

swojego macierzystego uniwersytetu. Specjalizuje się w stosunkach wczesnonowożytnych Niderlandów z Polską i Litwą. Jego projekt doktorancki dotyczy badań wizerunku siedemnastowiecznej Polski w Holandii. Źródła, które studiuje Paul, to relacje z podróży, listy i wiersze napisane w językach: niderlandzkim, polskim lub po łacinie. Sięga również po materiały wizualne, takie jak mapy i obrazy. Młody naukowiec łączy swoją pracę z innymi zajęciami. Na przykład w 2015 r. Paul Hulsenboom był zwycięzcą konkursu na tłumaczenie polskiej książki na język niderlandzki. Przetłumaczył wówczas powieść Joanny Bator zatytułowaną „Ciemno, prawie noc”. I na szczęście na tym nie poprzestał, bo dziś możemy cieszyć się książką „Bezem en kruis”.

De Hollandse schoonmaakcultuur of de geschiedenis van een obsessie”, którą można kupić w Primavera Pers. Na koniec dodam, że starsi czytelnicy mogą pamiętać Paula z występów na „Wierszowisku”, ponieważ jego mama jest Polką i długie lata uczyła w szkole polonijnej w Tilburgu. ■

Źródła:

- Bezem en kruis [online] https://www.primaveraapers.nl/p/bezem-kruis/?fbclid=IwAR-3r8eUVR_LjH7ih_04IYvMnMZB3vafq2UtH9yX68ajXFxWTV3bN_duSe9I [dostęp: 26.10.2020]
- Zalewska Z., Kraj miotły i szczotki- rozmowa z Piotrem Oczką [online] <https://www.dwutygodnik.com/arttykul/4531-kraj-miotly-i-szczotki.html> [dostęp: 26.10.2020] oraz informacje o autorach ze stron uczelni



„Bezem en kruis. De Hollandse schoonmaakcultuur of de geschiedenis van een obsessie Door” Piotr Oczko, Hardcover, 416 blz., ca. 377 ill. in kleur, ISBN 978-90-5997-326-8

Imperatyw



MAREK ORZECOWSKI

Skąd bierze się w Niemczech czystość? Z imperatywu sprzątnia. No tak, ale imperatyw sam nie sprząta. Niemcy byłoby tak samo brudnym krajem jak wiele innych na świecie, gdyby nie były sprzątane i zamiatane, a sprzątane i zamiatane są z zapalem, żarliwością, poczuciem obowiązku, z dyscypliną, i satysfakcją... Ale i zgodnie z obyczajem, by nie powiedzieć, swoistym przymusem. W kraju bowiem niemiecką czystością rządzi tak zwany tydzień sprzątnia, Kehrwoche: mały tydzień sprzątnia, mała Kehrwoche, i duży tydzień sprzątnia, duża Kehrwoche. Podczas małego tygodnia sprząta się klatkę schodową, podczas dużego również przy piwnicach, wejście do domu i wszystko wokół. Kehrwoche jest obowiązkowa i lepiej dotrzymać wyznaczonych terminów. Inaczej, można spotkać się w sądzie...

Do końca nie wiadomo właściwie skąd ten zwyczaj przyszedł, za miejsce gdzie się narodził i rozniósł po całym kraju jak stonki, uważa się Szwabię (Stuttgart) i szwabska Kehrwoche, o której krążą legendy i rozmaite przypowieści, jest w Niemczech najsławniejsza, jest wręcz synonimem miotły i kubła z wodą. Kroniki wspominają obowiązek cotygodniowego sprzątnia już na przełomie XV i XVI wieku, więc nic dziwnego, że weszło ono niemieckim gospodyniom w krew. Sprawa regulowana jest na różne sposoby, najczęściej obowiązek (wręcz nakaz) sprzątnia zapisany jest w umowie wynajmu mieszkania. Można też dyskretnie napisać do nowych sąsiadów liścik i wrzucić im do skrzynki. Jak mojej żonie i mnie.

Jeszcze nie zdążyliśmy rozpakować naszych rzeczy po przeprowadzce do Bonn, jeszcze nie zdążyliśmy się przedstawić trójce sąsiadów, a już następnego dnia w skrzynce na listy znaleźliśmy pisany odręcznie, pięknym charakterem, list o mniej więcej następującej treści:

„Serdecznie witamy... Cieszymy się bardzo, że Państwo będziecie mieszkać razem z nami, i aby nasze współżycie układało się jak należy, uprzejmie informujemy, że obowiązek cotygodniowego sprzątnia klatki (kleine Kehr-

woche) przypada dla Pani w każdy czwartek (godziny dowolne), zaś comiesięcznego (grosse Kehrwoche) w piątki (przed południem). Piwnice sprzątną co dwa tygodnie, pralnię używamy po wcześniejszym wpisaniu się na listę i zostawiamy czystą, suszarnię podobnie, a pomieszczenie na rowery, które sprzątną raz w miesiącu, dobrze zamykamy na kłódkę. Wszystkiego najlepszego, miłego mieszkania. Sąsiedzi...”

Nigdy oczywiście nie ustaliliśmy, który sąsiad był „sąsiadami”, nie było to ważne, ważne było, że musieliśmy tak układać nasze plany, aby moja żona mogła wywiązać się z obowiązku sprzątnia. I tylko ona, bowiem bieganie z miotłą było wyłącznie w jej gestii, zaś wynajęcie do tej czynności sprzątaczkę zewnętrznej nie wchodziło w ogóle w rachubę: sprzątać mogli (i musieli) tylko ci, którzy w domu mieszkają, zatem i śmieć... Ponieważ nasz dom zamieszkiwali dyplomaci, przyzwyczajeni do elastyczności, mogliśmy się z nimi terminami zamieniać, dzięki czemu wyjeżdżaliśmy na dłuższe urlopy i narty. Wśród tych, którzy szli nam na rękę, a szli wszyscy, znajdował się, co oczywiste, również „sąsiedzi”... Wybaczyliśmy, zapomnieliśmy, ale przecież listu pisać nie musiał, wystarczyłoby aby zapukał do drzwi i po prostu powiedział...

W kraju w którym sprzątnie i dbanie o czystość wypływa z imperatywu genetycznej dyscypliny, nie może brakować całej gałęzi wiedzy, zajmującej się miotłami, mopem, kublami z wodą, ścierkami... Perfekcja w likwidacji kurzu, pajęczyn czy śladów po muchach wymaga nie tylko solidnej i wciąż doskonałej praktyki, ale musi być też wspierana, co zrozumiałe, systematycznie rozwijaną teorią.



Maria Husch, ekspertka od zagospodarowywania przestrzeni (w języku niemieckim brzmi to mniej skomplikowanie: „Raumexpertin”, cokolwiek to znaczy), i założycielka internetowej wspólnoty „I LOVE MY HOME” jest jedną z najbardziej zasłużonych na tym niełatwym polu zmagających z brudem pionierów. Z własnej praktyki wie, ile czai się na nim niespodzianek i min, i dlatego z rozmachem poświęciła się rozwojowi filozofii czystości i porządku, aby jej liczne naśladowczynie nie utraciły nic z koniecznego żaru i machaniem ścierką odkrywały ukryty do tychczas przed nimi świat nieoczekiwanych doznań i wrażeń.

Otóż, Maria Husch doliczyła się w swych naukowych badaniach 43 i jednego powodów, słownie: czterdziestu trzech i jednego, dla których warto zająć się sprzątniem i poświęcić mu życie, a raczej, by sprzątnąc, wnikać w jego najgłębsze tajemnice. Wychodzi na to, że nie sprzątnąc, bardzo wiele tracimy a życie przelatuje nam koło nosa jak natrętna mucha.

Dlaczego warto sprzątać?

Odpowiedzi na to pytanie przytaczam nie tylko z reporterskiego obowiązku:

- mamy więcej osobistej wolności
- oszczędzamy pieniądze
- oszczędzamy jeszcze więcej pieniędzy
- redukujemy w życiu stress
- porządek inspiruje nas do nowych wyzwań
- jesteśmy bardziej skłonni do wyrażania uczuć
- jeśli mam w domu porządek, jesteśmy w życiu bardziej swobodni
- lepiej się koncentrujemy
- ważne sprawy załatwiamy w spokoju
- jesteśmy bardziej produktywni
- jesteśmy szczęśliwsi i radośniejsi
- łatwiej obsługujemy domowe urządzenia
- zdobywamy perfekcję w załatwianiu prostych spraw
- tracimy mniej czasu na szukanie różnych rzeczy
- mamy więcej czasu dla siebie
- redukujemy stres w rodzinie
- łatwiej przekładamy rzeczy ze starych miejsc w nowe
- zyskamy większe uznanie u sąsiadów i znajomych
- poprawimy sobie zdrowie
- będziemy mieć więcej siły i energii
- mniej frustracji i złych myśli
- wokół nas będzie mniej bałaganu
- poprawimy nasze szanse na sukces zawodowy
- będziemy mieć więcej czasu dla innych
- sprzątnie będzie łatwiejsze
- będziemy potrzebować mniej mebli

- będziemy mieć więcej czasu dla siebie
- zredukujemy nasze rozkojarzenie
- poprawi nam się komfort życia
- docenimy czym jest codzienna wolność
- będziemy bardziej otwarci na nowe rzeczy
- mocniejsza koncentracja na zasadniczych sprawach
- mamy więcej czasu na uprawianie sportu i hobby
- więcej szans na nowe znajomości i przyjaźnie
- będziemy bardziej aktywni
- pozbędziemy się starych kłopotów
- będziemy się więcej i częściej uśmiechać
- będzie mniej kurzu a więcej świeżego powietrza
- nie będziemy się tak często potykać o rozrzucone rzeczy
- będziemy mieli rezerwę w schowanku
- będziemy przykładem do naśladowania dla innych
- będziemy bardziej otwarci na zmiany
- goście będą mogli wpaść do nas w każdej chwili

I ostania, najważniejsza reguła Marii Husch, specjalnie zostawiona przez nią na sam koniec, ponieważ jest niepodważalną kwintesencją wszystkich poprzednich:

- porządek to szacunek dla samej siebie!

I jak tu nie sprzątać? Zatem, do mioteł!

Teraz już wiemy, dlaczego nowoczesna Niemka powinna utrzymywać kraj w czystości. Nie dlatego, że robiła to już jej babka i matka, i nie dlatego, że Kant dopatrywał się w tej czynności imperatywu, przed którym nie ma ucieczki. I niekoniecznie dlatego, aby walczyć z brudem. Sprzątać, to znaczy żyć. Pełną pierśią.

Wśród czterdziestu trzech reguł i jednej Marii Husch, zabrakło jednak najprostszej: będzie po prostu czysto. No, ale w dzisiejszych czasach to zbyt prozaiczny powód, by sięgnąć po ścierkę.

Pamiętamy zwrotkę z hymnu niemieckiego o kobietach?

...*Niemieckie kobiety, niemiecka wierność*



*Niemieckie wino, niemiecka pieśń...
...Niech przez całe nasze życie
ku szlachetnym czynom nas wiodą
Kobiety niemieckie, niemiecka wierność
Niemieckie wino i pieśń!...*

Jak mówi stara prawda?

Bałagan robi każdy. Porządek, tylko mądry rozumem.

Fragment książki Marka Orzechowskiego pt. „Typisch deutsch. Jak niemieccy są Niemcy...”, która ukaże się na wiosnę w wydawnictwie Muza.

Z a r a z a



JERZY SKOCZYLAS

W okresie powszechnej zarazy, co szumnie się zwie pandemia, widzimy w niej same minusy, a zalet nikt nie docenia. Nie mówię by zaraz ją kochać lub po imieniu z nią być, lecz skoro nie sposób jej zatłuc, to jakoś spróbujmy z nią żyć. Bo zważcie jak wielu facetów, niech panie się nie obrażą, doznaje okrutnych katuszy żyjąc na co dzień z zarazą. I dzielą z nią chatę i łożę, bez masek i dezynfekcji, a co męczennicy wycierpią, wychodzi dopiero na sekcji.

Starajmy się więc na pandemię popatrzeć przez szkło barwy róż. Nie wszystko być musi tragedią, nieszczęściem i zwiastunem burz. Ot weźmy chociażby ów dystans, co każdy powinien zachować. Toż istne to losu zrzędzenie, gdy zechce nas ucałować na przykład wąsata ciotunia, lub mama lubej małżonki z ustami w kolorze ślimaka i smaku nadpsutej mrożonki. My wtedy: - mamusia wybaczy, przepisy, tak sprawa się ma, odległość należy zachować co najmniej dwa metry, więc pa! Lub przyjdzie wyprawic wesele, rodzinny szykuje się spęd i problem jak skarmić, napoić sto głodnych i spragnionych gęb. A tutaj, wybaczcie, pandemia, jest limit, więc cóż, bez urazy. Prezenty wyślijcie kurierem, a pocztą nadajcie przekazy. A zdalna robota w „onlajnie” to rozkosz i balsam na stres.

Zakładasz służbowy uniform, to znaczy bambosze i dres, wygodnie się mościsz w fotelu, w monitor zatapiasz swój wzrok, a szef to ci może naskoczyć, bo klikniesz brak sieci, i stop! Maseczki też można polubić, przydają się nam bez dwóch zdań, wpływając korzystnie na wygląd tak wielu facetów i pań. Szczególnie dla osób publicznych to losu zrzędzenie i zysk, bo przez nie zupełnie nie widać jak wredny zań kryje się pysk. Więc cieszymy się chwilą i śmiejmy, bo życia rzeczułka się sączy i okres pandemii, jak wszystko po prostu niedługo się skończy. Zatłuką wrednego wirusa lekarze i ludzie uczeni, a my nieraz gorzko wspomnimy: - Ej, fajnie się żyło w pandemii.

40 lat Polsko-Niderlandzkiego Stowarzyszenia Kulturalnego



ANDRÉ ROGALA

Dziewiątego marca minęło 40 lat od założenia Polsko-Niderlandzkiego Stowarzyszenia Kulturalnego (czyli PNKV). Założyła je grupka Polaków i Holendrów – Gart Adang, Bożena Rewers, Andrzej Mackiewicz, Jozsi Pietryga, Wim van Gurp, Tomek Klarecki – kto więcej? nie pamiętam, do PNKV przybyłem parę miesięcy później – dopiero we wrześniu. Wróciłem właśnie z kursu metodyki dla nauczycieli polonijnych na UMCSie w Lublinie, załatwiając jakieś sprawy w ambasadzie dostałem numer „Biuletynu” od konsula o nazwisku Sałajczyk. Zapisalem się i początkowo pomagałem przy -wtedy miesięczniku – „Biuletyn”, którego redakcją zajęła się Bożena Rewers. Gart (małżonek Bożeny), student prawa, zajął się finansami. W pierwszych latach pisywałem sporo do „B”, tak pod własnym nazwiskiem jak i pseudonimem Włodzimierz Barauskas.

W 1984 roku zaczął PNKV działać z kompletnym zarządem – Gart Adang został skarbnikiem, Jos Vriesema sekretarzem, a mnie wybrano na przewodniczącego. Zaczęła się też współpraca z Krakowskim AWF-em. Dzięki wspólnie organizowanym wycieczkom do Polski kasa Stowarzyszenia

szybko się zapełniła i poza wydawaniem czasopisma mogliśmy też rozszerzyć swoją działalność. Studenci przyjeżdżali na Marsz Czterodniowy w Nijmegen, występował też ich zespół folklorystyczny. Odbył też tournée po Holandii Grzegorz Turnau z zespołem Anawa. Mile wspominam redaktorów (i redaktorki) „B”: Bożenę Rewers, Magdę Saras-Janiszewską, Grażynę Kaszubę, Reina Bakhuizen vd Brink czy Léona Petersa. W „Biuletynie” pisywali Pszisko Jacobs, Joanna Salamon (lekarka, pisarka i poetka, współpracowniczka „Przekroju”), Marek Rymuszko (m.in. wywiad z Ewą Łętowską), raz też za zgodą autora zamieszczono reporterską relację (związaną z Holandią) Krzysztofa Kąkolewskiego i wielu innych, trudno mi wszystkich wymienić. Dzięki PNKV byli w Holandii na pobytach dziennikarskich Marek Kasz – w latach 80-tych jeden z najpopularniejszych dziennikarzy i satyryków, autor kilku książek; Waldemar Piasecki – była głośna jego książka o Janie Karskim, z którym się przyjaźnił; Jacek Bieniaszkiewicz – dziennikarz radiowy; Marek Rymuszko (prawnik, felietonista „Prawa i Życia”, autor kilkunastu książek i prezes Krajowego Klubu Reportażu); Ryszard Wójcik, czołowy polski reportażysta, autor telewizyjnego cyklu „Po bitwie” i „Zatrzy-

mane w kadrze”, autor kilkunastu książek; Jan Płaskoń – dziennikarz z Opola, piszący też do „Polityki” – autor tematu-rzeczki o dwóch polskich kombatantach w Holandii – Bolesławie Opolskim i Stanisławie Nowosielskim. Holandię odwiedziła też ekipa TVP 2 pod kierownictwem red Marka Maldisa (wtedy wicedyrektora Dwójki). Nakręcił cały cykl programów, m.in. reportaż o policji w Utrechcie (dzięki pośrednictwu członka PNKV i oficera policji Koosa Moroza). Przed emisją cyklu byłem przypadkowo w Warszawie i przeprowadziła ze mną kilkunastominutowy wywiad w Telewizji Śniadaniowej Grażyna Torbicka (na żywo). Spotkanie polsko-holenderskich małżeństw w Bredzie w maju 1988 roku nie było imprezą organizowaną przez PNKV, lecz przy współpracy ze Stowarzyszeniem, kilku członków Komitetu Organizacyjnego (któremu przewodniczyłem) zapisało się później do nas. W imprezie wzięło udział 1000 osób, było też 1000 pączków od Bliklego, które przyleciały z rana z Warszawy. Jednym z gości honorowych była pani Korte-van Hemel, sekretarz stanu d/s obcokrajowców w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Spędziłem w sumie 25 lat w PNKV, a przez 11 lat jemu przewodniczyłem. Uważam, że było warto. ■



Zarząd PNKV w 1989 – od lewej: Max Heijdenrijk, Wally Bucior, Leon Peters, André Rogala, (?), Jos Vriesema

Destrukcja



ALICJA GRYGIERCZYK

znowu w Krakowie. Znowu radość ze spotkania naszej piątki! Przyjaźnie z młodych lat, jeżeli przetrwają, są darem losu. Przeżyliśmy ze sobą najważniejszy okres swojego życia: studia, wchodzenie w dorosłość. Kształtowały się wtedy charaktery, poznawaliśmy nasze jasne i ciemne strony. Zachwycaliśmy się sobą, ale też rozczarowywali. Mogliśmy na sobie polegać,

nie na widok pomarszczonych twarzy. Pojawia się Jacek, mąż Kaji, którą parę lat temu zabrał nam rak. Na jego widok ogarnia nas uczucie ciepła i mamy wrażenie, że wraz z nim Kaja jest również wśród nas. Jacek podejmuje temat wyborów prezydenckich, które właśnie odbywają się w Polsce.

I nagle dzieje się coś, o czym słyszałam, ale widzę to teraz na własne oczy. Pryska sielanka. Zrelaksowane twarze robią się spięte. Miejsce miłej rozmowy zajmuje forsowanie swoich racji. Głosy stają się coraz bardziej podniesione, twarze coraz mniej przyjemne. W momencie, kiedy Jacek wychodzi do łazienki, rozgorączkowana Marta wykrzykuje: – Obiecywałam sobie nie dać się sprowokować, ale za chwilę chyba wybuchnę!

„Polska podzielona murem nienawiści”, dźwięczy mi w uszach gdzieś zasłyszana niedawno piosenka. Kiedy wraca Jacek,

Kościoła w tych wyborach i nagle znowu zaczynam być świadkiem tego, czego doświadczyłam parę dni temu w Krakowie. Padają coraz mocniejsze słowa, na twarzach pojawia się złość, zaczyna toczyć się walka o swoje racje.

– Co się dzieje? Co tu się nagle stało? – przyglądam się temu zdumiona.

Moja kuzynka jest bardzo wierząca, Anka zawsze krytykowała Kościół, ale to nigdy nie przeszkadzało im w kontaktach ze sobą. One zawsze bardzo się lubiły!

Rozmowa zaczyna zmieniać się w kłótnię, więc ponaglę Ankę do wyjścia na spacer. Kiedy wracamy, informuje mnie, że musi jeszcze wpaść do siostry, więc ten obiad z kuzynką, może innym razem...

Wchodzę do domu. – Gdzie jest Anka? – słyszę pytanie. – Pojechała do siostry – odpowiadam. Widzę rozczarowanie na jej twarzy.



ale też zawiedliśmy się nie raz. Zrywaliśmy kontakty i wracaliśmy do siebie. Nie mieliśmy nałożonych masek. Byliśmy autentyczni. Dzięki temu wiemy o sobie wszystko i dlatego tak cenimy sobie te spotkania. Nie musimy nikogo udawać. W naszym przypadku to nie ma sensu. Żadne tytuły, które zdobyliśmy po drodze, wysokie stanowiska, nas nie zwiodą. Zbyt dobrze znamy nasze wady i ograniczenia. Są naszą tożsamością.

Tym razem spotykamy się u Ewy na działce, bo upał w Krakowie niemiłosierny. Jak zwykle, po roku niewidzenia się, przyspieszone bicie serca, przyglądanie się sobie i przekomarzenie. Radość, że czas się cofnął, że znowu jesteśmy razem i wzrusze-

próbuję zmienić temat, ale to jest niemożliwe. Próba udowodnienia swoich racji zostaje podjęta i zaczyna przybierać agresywną formę. Patrę i uwierzyć nie mogę, że oni też dali się w to wciągnąć.

Parę następnych dni spędzam u mojej kuzynki w Tarnowie. Umówiłam się tam też z Anką, moją przyjaciółką na dłuższy spacer, a potem wspólny obiad gdzieś na mieście. Dziewczyny się lubią, ja lubię je obie, więc te obiady stały się już naszą tradycją. Anka, jak zwykle, zjawia się bardzo punktualnie, moja kuzynka proponuje nam jeszcze kawę przed wyjściem. Siadamy przy stole i zaczyna się rozmowa na temat... wyborów prezydenckich. Anka mówi o roli instytucji

– Przygotowałam „Gościa Niedzielnego”, chciałam przeczytać jej artykuł, po którym może zmieniłaby swoje zdanie – mówi.

Patrę na nią, siedzącą nad tą gazetą i ogarnia mnie smutek. Nie mam już nawet ochoty zastanawiać się nad tym, co się tutaj dzieje, kto i co za to odpowiada. Widzę tylko, jak bezsensowna jest próba udawania własnych racji.

Bo przecież, jak powiedział kiedyś Piłsudski: „Racja jest jak dupa, każdy ma swoją”. To takie oczywiste. Ale oprócz braku jakiegokolwiek sensu, taka próba pozostawia po sobie coś bardzo niedobrego: destrukcję. A to jest już niepokojące.

Miłość w Legnicy – „Mała Moskwa”



AGNIESZKA VIJVERBERG-TRETER

1 listopada tego roku, po raz pierwszy nie mogłam zapalić znicza na grobie Lidii Nowikowej, pięknej Rosjanki (Białorusinki), która z wielkiej miłości do Polaka popełniła samobójstwo. Jej krótki pobyt w Legnicy, szalona, zakazana miłość i tragiczna śmierć 8 października 1965 zapoczątkowały kult na miarę Julii z tragedii Szekspira. My, dumni Legniczanie, podkreślamy, że Włosi mają swoją Weronę, a Polska ma swoją Legnicę. Chętnie przychodzimy na jej grób, zwłaszcza w okresie Zadusznym, składając kwiaty i zapalając znicze.

Kult Lidii zakorzenił się definitywnie w zbiorowej pamięci Polaków dzięki pięknemu filmowi Waldemara Krzystka, „Mała Moskwa”, z 2008 roku. Akcja toczy się w latach 60-tych. Reżyser, tak jak i ja, pochodzi z Legnicy, tu się wychował. I nikt inny nie potrafiłby tak wiernie oddać atmosfery, psychologii miasta, na tle której rozegrała się ta miłosna tragedia.

Kim była Lidia, na którą nie podziałało szekspirowskie ostrzeżenie „To złe że miłość, choć ślepa i głucha idzie, gdzie zechce i czego chce słucha”? Lidia, śpiewająca w filmie piosenkę Ewę Demarczyk i która podświadomie wyśpiewała swój los „już znalazł twój wzrok moje oczy, już idziesz po drodze zamroczony. Już zaraz za chwilę... Czy pamiętasz jak ze mną tańczyłeś? Podchodzisz na palcach i naraz nad głową grzmotnęło do walca porywasz-na życie i na śmierć-do tańca Grande Valse Brillante”.

Tylko ślepa miłość mogła dać jej fałszywą nadzieję, że w mieście podzielonym na strefy dla Rosjan i Polaków, w mieście ogrodzonym murem, mieście zabezpieczonym szlabanami, znakami zakazu, mieście pilnowanym przez uzbrojonych, ostrą broń strzelających rosyjskich żołnierzy, jest miejsce na jej miłość. Ta sama Legnica, która dała moim rodzicom szczęście w miłości, niestety odebrała tę możliwość Lidii.

Lidia Siergiejówna Nowikowa pochodziła z białoruskich Kustowicz, 60 km od polskiej granicy. Od babci nauczyła się języka



polskiego. Do Legnicy przyjechała w 1962. Z mężem i dwoma synami zamieszkali w kamienicy przy ulicy Mariana Buczka, dzisiejsza Kwiatkowskiego. Mąż Lidii Zinowij Dimitrewicz Nowikow kontynuował tu służbę wojskową w pułku lotnictwa transportowego. Z zawodu był technikiem pokładowym, w randze lejtnanta, na pokładzie samolotu Li-2, popularnie nazywanego Douglasem. Obaj ich synowie byli uczniami rosyjskich szkół.

Sama Lidia zatrudniła się jako bufetowa w żołnierskiej stołówce wojskowej, a w wolnych chwilach szyła i robiła na drutach. Ponoć miała niesamowity talent i dobry gust w kreowaniu ubrań. Szyła i dziergała na zamówienie. Miała dużo polskich klientów, którzy doceniali jej kunszt i gust. Sama



ubierała się z gustem, podkreślając swoją nieprzeciętną urodę i figurę modelki.

Mąż Lidii był w domu tylko w weekendy, dużo latał z rosyjskimi generałami, którzy samolot traktowali jak taksówkę. Lidia dzięki otwartemu charakterowi, znajomości języka i usługom krawieckim szybko się zaprzyjaźnia z Polakami. Podczas wieczoru kulturalnego w Domu Oficera poznała przystojnego, polskiego sierżanta. To była miłość od pierwszego spojrzenia. Ten romans od początku nie miał szans na powodzenie. Oboje byli mianowicie już w innych związkach. A dominującą przeszkodą była zerowa tolerancja władz radzieckich wobec zażytych związków między mieszkańcami garnizonu i Polakami.



Niestety niewiele wiemy o jej kochanku. Na pewno był przystojny. Prawdopodobnie jego żona doniosła o romansie męża. W konsekwencji czego rodzina Nowikowa musiała w ciągu 3 dni opuścić Legnicę. A on sam został karnie przeniesiony na służbę do Wrocławia.

W tym fatalnym dniu, 8 października, Lidia i jej mąż szykują się do wymuszonego wyjazdu. Wczesnym popołudniem Lidia wychodzi z domu pod pretekstem kupienia papierosów. Prawdopodobnie rodzi się w niej konflikt, burza emocji. Ona kocha innego, nie godzi się z losem, przeżywa dramat, z którym się nie może z nikim podzielić. Jednocześnie świat zewnętrzny, czyli jej mąż, sąsiedzi daje jej odczuć że jest wszystkim winna. Jak musi się czuć, samotnie z burzą sprzecznych emocji, które stają się psychicznym cierpieniem. Instynktownie widzi tylko jedno rozwiązanie dla swojego emocjonalnego konfliktu, cierpienia.

Jest październik, a ona jest tylko ubrana w czarną spodniczkę i czarną bluzkę z krótkim rękawem, na szyi ma apaszkę, idzie w stronę parku/lasku. Po drodze spotyka młodszego syna, całuje go i każe mu iść bezpośrednio do domu i mówi: „zaraz wracam”. Lidia nie wróci już do domu. Parę dni później znaleziono jej ciało, „na czubkach butów, stała na paluszkach, bo gałąź się złamała. Apaszka naderwana na smukłej szyi, na tej apaszcze się powiesiła w Lasku Złotoryjskim”.

Rosjanie sprawę wyciszyli, skwitowali zgon jako akt choroby psychicznej. Mąż zorganizował cichy pogrzeb bez dzieci, które przewieziono do Brześcia i które nie miały pojęcia, że ich mama nie żyje. Sam wyjechał z Legnicy krótko po pogrzebie, razem z dziećmi osiedlił się w wojskowym miasteczku Stepanka pod Mińskiem. W 1966 ożenił się ponownie i z tego związku urodził mu się trzeci syn. Umarł w 1999 roku.

O kochanku wiemy mało, ponoć krótko po przeniesieniu do Wrocławia i rozwodzie z żoną, zginął tragicznie w wypadku samochodowym. Według innej opowieści żyje, anonimowo i samotnie, i na grobie Lidii pojawiają się od czasu do czasu kwiaty od niego. I w tę wersję chcą legniczanie wierzyć. Tę wersję wzmocnił też Krzystek swoim filmem „Mała Moskwa”, w którym sugeruje, że jej kochanek żyje.

Miejsce pochówku jest na cmentarzu komunalnym w Legnicy, w kwaterze rosyjskiej, gdzie chowani byli do 1993 roku członkowie rodzin żołnierzy Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej. W 1978 roku z inicjatywy brata Lidii Stiepana, mogiłę pokrył biały marmur z żeliwnym ogrodzeniem. Jej grób jest regularnie odwiedzany przez jej siostrę, braci, synów i wnuki.



Miejsce spoczynku pięknej i tragicznie zmarłej Lidii stało się miejscem kultu. Tuż po jej pogrzebie przychodzili legniczanie, żeby zmanifestować swoją solidarność ze zmarłą. To był empatyczny odruch serca, ale także polityczna solidarność dla Rosjanki, która pokochała Polaka. I Polskę. Lidia mówiła biegle po polsku, znała polską kulturę, śpiewała polskie piosenki i przyjaźniła się z polskimi sąsiadami. Niestety jej postawa nie była mile widziana przez rosyjskie władze, rosyjskich obywateli.

Tragiczna miłość Rosjanki i Polaka pokazują wyraźnie jak skomplikowane były wtedy stosunki polsko-rosyjskie w powojennej Legnicy, okupowanej aż do 1993 roku przez rosyjskie wojska. W 1945 zdecydowano, że Legnica będzie siedzibą dowództwa Grupy Sztapu Północnej Grupy Wojsk Radzieckich. Jej strategiczne położenie na szlaku Wschód- Zachód oraz pozostała po Niemieckim garnizonie infrastruktura były najważniejszymi argumentami tej decyzji.

W 1946 roku mieszka w Legnicy 60.000 Rosjan, 12.000 Niemców (rdzennych mieszkańców) i 16.000 Polaków przesiedlonych czy szukających szczęścia na Nowych Zachodnich Polskich Ziemiach. W następnych latach przybywają nowi mieszkańcy, dzięki którym Legnica staje się wieloetnicznym miastem. Mieszkańcami Legnicy są Polacy, Niemcy i Rosjanie, Ukraińcy, Żydzi, Ruteni, Ormianie i Grecy.

Moja Legnica....

Mój tato przyjechał do Legnicy w 1956 a mama w 1957. Połączyła ich Legnica i miłość od pierwszego wejrzenia. Nowa powojenna rzeczywistość i nowe miasto dało szansę na ich miłość, aż po grób. A ja staram się owocem ich miłości. To, co przed

wojną nazwane by było mezaliansem, czyli związek moich rodziców, w nowej rzeczywistości polskiej nie robiło wrażenia. Z dzieciństwa pozostał mi dźwięk butów żołnierskich, objających się o kostkę brukową i nieprzyjemny zapach ich mundurów. Ci żołnierze, to jak mama mówiła” to jeszcze dzieci, które odebrano matkom i przewieziono tysiące km dalej, do nieznannej Legnicy”.

Mama współczuła tym dzieciom i przechodząc koło garnizonu, częstowała ich ciastkami i jabłkami. Od 7 roku przechodziłam w tygodniu do mojej szkoły wzdłuż murów garnizonu. Za murami nie było słychać radosnych rozmów czy śmiechu, tylko rozkazujący, ostry ton naczelników wojskowych. Okna mojej szkoły podstawowej wychodziły na plac wojskowy. Często z bólem serca obserwowałam sadystyczne sceny. Widziałam oficera, który rzucał swoją czapkę na bruk, a prosty żołnierz musiał ją podnosić. Za każdym podniesieniem czapki oficer uderzał żołnierza w twarz.

Obok mojej szkoły był rosyjski sklep, z luksusowymi produktami z całej Europy wschodniej. Czasami udawało mi się wejść tam do środka, żeby kupić towar, nieosiągalny w polskim sklepie. Ale ja znam też pełne przyjaźni kontakty z Rosjanami. Moja mama bawiła ich dzieci, rodzice Saszy, czy rodzice Wowy byli młodymi i inteligentnymi Rosjanami. Mieli podobne troski i radości, z którymi się dzielili. Mieli takie same potrzeby jak my. Zapraszali nas chętnie na swoje urodziny, dyskretnie wchodziliśmy w ich prywatne życie. I czuliśmy ich napięcie, ponieważ zawsze ktoś z ich sąsiadów mógł donieść, a to równało się z szybkim powrotem do Rosji. A oni tak chcieli zostać w Polsce! Tak samo jak Lidia tego chciała.

Od 16 września 1993 tak dużo się w Legnicy zmieniło. Dawne koszary rosyjskich wojsk zamieniły się w obiekty akademickie wyższej szkoły. Do czasów pandemii słychać było za murami kroki i odgłosy radosnych studentów, przerywane drobnym przekleństwem, jako reakcja na złe zdane kolokwium albo egzamin? Dzielnica zwana kwadratem, tam gdzie mieszkała Lidia, z pięknymi ponemieckimi willami i kamienicami, stała się teraz ekskluzywną dzielnicą dla Polaków z dużymi pieniędzmi.

Ja wyjechałam z Legnicy w 1992 roku do Holandii za miłością, która dalej trwa. A Lidia pozostała w Polsce, w Legnicy... Pozostawiła nam Legniczanom swoją historię tragicznej miłości, ciągle działającą na nasze emocje i twórczość. I grób, miejsce jej kultu. Mam nadzieję, że w przyszłym roku będę mogła zapalić zniczy i zanucić na grobie Lidii” Czy pamiętasz jak ze mną tańczyłeś walca, Panną, Madonną, legendą tych lat”.

Jolka, Jolka... pamiętaj!

Odeszła od nas nagle we wrześniu tego roku. Kto raz spotkał Jołę, ten na pewno nigdy Jej nie zapomni. Wśród szczęśliwców mogących Ją spotkać (i to wielokrotnie) – są uczestnicy fantastycznych tradycyjnych leśnych integracyjnych imprez „z tematem” w Fundacji „hOlendry”. Ten temat co roku inny a wszystkie one mieściły się w ramach wspólnej nazwy LAS BEZ BARIER.

Jola – to koleżanka wszystkich pozytywnych ludzi, to iskry w oczach, serce na dłoni, uśmiechy rozsiewane natychmiast tam, gdzie się tylko pojawiała. Nie odbieraj nam tego i nadal tam z góry czuwaj i ochroń atmosferę noworóżańskich spotkań od zagłady. Pilnuj zieleni horyzontu, szumu leśnych drzew i śpiewu ptaków, dymu z ogniska i opowieści biesiadnych pieśni w przyjacielskim kręgu.

A krąg ten z roku na rok coraz większy, gdyż Ziemia Nowotomska z otwartymi ramionami przyjmuje od kilkunastu lat osoby niepełnosprawne tworząc z Fundacją „hOlendry” i pod skrzydłami Nadleśnictwa Grodzisk – integracyjną akcją środowiskowo-edukacyjną pod nazwą LAS BEZ BARIER.

Osoby niepełnosprawne, głównie ze stwardnieniem rozsianym – przybywają do tej przyjaznej im bazy, czyli do leśnej polany Fundacji „hOlendry” w Nowej Róży. Sceneria tej malowniczo położonej zielonej osady sprzyja integracji i wypoczynkowi. W tym lesie nie ma już na pewno barier psychologicznych, nie ma wysokich krawężników i pędzących ulicą samochodów. „Muzyka” płynąca z lasu leczy i relaksuje.

Jolka, Jolka – pamiętaj: jesteśmy umówieni tu znów za rok!

DANUTA ŁAWNICZAK



Jolu

Trzymałaś życie - ręką i nogą i papierosem
Puściłaś - i pofrunęłaś za Anioła głosem
Prosto do nieba w synowskie ramiona
I wielka Twoja tęsknota została spełniona

Jolu - baluj tam w niebie
Jak balują Wszyscy Święci
Tutaj nikt nigdy Ciebie
Nie skasuje w swej pamięci !

Danuta Ławniczak i przyjaciele
wrzesień 2020



Zostawiła uśmiech

Kto nie poznał Joli osobiście ten nie wie, jak wygląda prawdziwy uśmiech. Czy gdy uśmiechała się do mnie hamowała krzyk bólu? Uśmiech, który przykrywał ból i cierpienie ciała. Nie dowiem się nigdy.

Znałam Jolkę kilkanaście lat. Pierwszy raz przyjechała do Nowej Róży z grupą Yoga. Z grona zdrowych, wysportowanych młodych ludzi, dotknięta chorobą stwardnienia rozsianego wydała mi się najpogodniejszą osobą i duszą towarzystwa. Później spotykałam ją nie tylko latem w Nowej Róży, ale także na spotkaniach organizowanych przez Danusję Ławniczak dla osób ze stwardnieniem rozsianym. Była zawsze obecna, na lekcjach jogi, na spotkaniach w ogródkach, w kawiarniach czy na zebraniach Towarzystwa Stwardnienia Rozsianego. Na początku jeszcze chodziła podpierając się na lasce lub czymś ramieniu. Potem coraz mniej... Gdy ostatnim razem zobaczyłam ją bez nogi łyż stanęły mi w oczach. Jolka



zaciągnęła się papierosem, paliła jak komin, popatrzyła mi w oczy z uśmiechem i łyż się zatrzymały. Oddałam jej swój uśmiech... Jolka, ty paskudo! Miała taki przydomek: Paskuda. To chyba przez figle i żarty, które Jej nie opuszczały. Pomimo cierpienia fizycznego. Nie wypytywałam Jolkę o życie osobiste, bo słyszałam, że też było w nim sporo cierpienia.

Wspominała zawsze, że ma rodzinę w pobliskim Bukowcu. Niedawno miałam okazję rozmawiać z panem Pawłem, który wspominał o śmierci cioci Joli. Może opowie mi o Niej więcej, może dowiem się jaka była Jola zanim dopadła Ją choroba. Zastanawiam się czy Aniołowie się uśmiechają? Jeśli nie, to jestem pewna, że Jolka zarazi ich swoim anielskim, a może po prostu ludzkim uśmiechem.

Jolu, a jak w Niebie, już Ciebie nic nie boli, możesz tańczyć, śpiewać? Mam nadzieję, że planowany w 2021 w Lesie Bez Barrier koncert w Nowej Róży pod hasłem „Brzmienie lasu” dotrze tam do Ciebie. Już teraz dedykujemy go Tobie.



ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
AMBASADOR
STWARDNIENIA ROZSIANEGO



Taką ją zapamiętamy



Las Bez Barrier 2019



Kochała muzykę

fot. Wojciech Zieliński i archiwum Fundacji „hOlendry”

Wiatrak



ALEK SILBER

Dwie dłonie pewnym uchwytem trzymały koło sterownicze. Niegdyś musiały być piękne, lecz teraz białe plamki na skórze i siwe włoski powyżej nadgarstków, zdradzały wiek właściciela. Koło było drewniane, przyozdobione lśniąco okuciami z mosiądzu. Ręce nieznacznie poruszały nim w lewo, to w prawo. Mężczyzna przy sterze stał na lekko rozwartych nogach, wpatrując się w ciemność za szybą. Światło lampki nad sterem rysowało jego postać wielkim cieniem na ścianie. Pomieszczenie wypełniały ciche dźwięki koncertu skrzypcowego Sybeliusza.

Dorn mógł trwać tak godzinami, tylko czasem szpazm kaszlu przerywał spokój. Lubiał patrzeć w mglistą ciemność, momentami rozświetlaną żółtym blaskiem latarni morskiej. Jej błady odbłask kładł się szerokim snopem na pofalowanej powierzchni wody, by po chwili ponownie pograć świat w ciemności. Poprzez tony wibrujących skrzypiec Dorn wyławiał głuchy odgłos samotnej syreny, wskazującej drogę zagubionym żeglarzom. A muzykę dobierał uważnie; musiała odzwierciedlać jego nastrój, porę roku, czas dnia, aurę, kolor wody, nieba, a nade wszystko kształt jego myśli. Czasami długo stał przed półką z dyskami wertując dziesiątki płyt, dokąd nie znalazł odpowiedniej oprawy muzycznej. Bywało też i tak, że utwór wybierał przypadkowo. Wtedy muzyka stawała się przyczynkiem do jego myśli, kierowała nimi prowadząc je w świat wspomnień, lub też wzbogacając obraz obecny. Wówczas podróż przez świat postrzegany za oknem stawała się przygodą, drogą poprzez nieznanne. Aż sam się dziwił, iż mimo późnego wieku, postrzegał tak bogaty świat doznań. A może to właśnie dzięki swoim latom mógł odbierać świat bez zakłóceń i przeszkód? Miał już bowiem za sobą niepokoję młodości, walkę o byt wieku dojrzałego i smutek zmierzchu. Teraz był wolny. Gdy patrzył na wichrem gnane krople deszczu, cieszył się, że pada deszcz. Kiedy słońce tańczyło tysiącem blasków po morskich falach, radował go żar południa.

Obok doznań chwili obecnej, dysponował bogatym spichrzem wspomnień. Potrafił odwarzać z pamięci nie tylko wygląd twarzy

czy kolor nieba, ale i smak poziomki, zapach bzu, odgłos kukulki, dotyk brzozy kory. Przede wszystkim potrafił przywołać nastrój chwili, przypomnieć sobie, co czuł w danym momencie. Niczym z wielkiej księgi, czerpał z kart swego życia, wertując je dowolnie, z łatwością przemierzając góry, oceany, kontynenty, minuty, tygodnie, lata całe. W zależności od nastroju przeskakiwał od smutku rozstania do pierwszego pocałunku, od bólu świeżej rany do ekstazy miłości. A myślom towarzyszyły obrazy za szybą i nieodłączna muzyka.

Niemal zawsze, kiedy stał przy sterze, towarzyszył mu jego kompan, łąciaty pies „Szaman”. Zwykle siadał na wiklinowym fotelu, tuż obok koła sterowniczego, z wzrokiem utkwionym w swego pana. W jego spojrzeniu tyle się kryło mądrości i wyrozumienia, że zdawał się czytać myśli Dorna i wraz nim przemierzać samotne szlaki duchowej wędrówki. Potrafił tak trwać nieruchomo, aż przyciągnął wzrok swego pana. Wtedy spuszczał oczy, jakby zawstydzony i, merdając ogonem, pokornie nastawiał łeb prosząc o pogłaskanie. Zwykle jego prośba została spełniana, wtedy wyciągał lubieżnie łeb do góry, obnażając swoje białe kły na kształt uśmiechu.

Wieczorem, po kolacji Dorn brał Szamana na spacer. Gdy pan sięgał tylko po kurtkę, pies zbiegał na dół po schodach i czekając przy drzwiach, szczełał radośnie. Wypuszczony na zewnątrz zrywał się do dzikiego galopu, jakby chciał uciec na kraj świata. Dorn uśmiechał się wtedy pobłaźliwie, idąc wolno śladem psa. Lubiał przystawać na małym mostku nad kanałem. Opierał się tam o balustradę i z lubością patrzył na swój dom. Uważał, że jest to najpiękniejszy wiatrak w Holandii, a kto wie, czy nie na całym świecie. Posiadał on w sobie coś z niewinności słonia; mimo dużego rozmiaru i pozornej groźby wielkich ramion, zdawał się być bezbronny, niemal godny politowania. Stał samotnie pośród zielonych pól nad brzegiem morza, niczym rycerz na straży – szlachetny i godny. Na piętrze, w okienku, tuż pod głowicą widoczna była wisząca lampa, a w jej świetle koło sterownicze. Poza tym ciemność, tylko momentami światło dalekiej latarni...

Z zamyślenia wyrwało Dorna głośne szczekanie psa. Szaman zwykł szczekać kiedy był zadowolony, lecz tym razem intensywność ujadania świadczyła o czymś niezwykłym. Rzeczywiście, po chwili zza zakrętu ukazały się światła reflektorów zbliżającego się samochodu. Dorn przywołał psa i założył mu smycz, z zainteresowaniem wyczekując niespodziewanego gościa. Samochód zatrzymał się przed wejściem i wysiadły z niego dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Dorn nie rozpoznał ich w ciemności. Dopiero gdy był już zupełnie blisko, usłyszał głos syna.

– Dobry wieczór.

– Dobry wieczór – odpowiedział z wahaniem – witaj Jetta – zwrócił się do synowej. Ona podbiegła do Dorna i uściśliła go, podając mu mały bukiet kwiatów.

– Proszę, wejdźcie na górę.

Gdy usiedli, Dorn podał im coś do picia, sam zajął miejsce przy sterze i nie mogąc się dłużej oprzeć ciekawości, spytał wprost – co was tu sprowadza? – chciał jeszcze coś dodać, ale dostał atak kaszlu. Jetta z niepokojem patrzyła jak cały poczerwieniał na twarzy i zaczął się krztusić.

– Tata spojrz na dzisiejszą datę – odpowiedział Michiel.

– Który dzisiaj jest, dwunasty listopada?

– Trzynasty.

– No, trzynasty, więc?

– Równo dwadzieścia lat temu...

Dorn zastanawiał się chwilę.

– Ach, jakże mogłem zapomnieć. To już dwadzieścia lat od dnia, w którym... I co, postanowiłeś mi wybaczyć?

– Tak, wybaczyłem.

Ojciec pozostawił ster, podszedł do syna i obaj mężczyźni uściśli się. Jetta patrzyła na nich w milczeniu.

– Bardzo się cieszę – Dorn nie potrafił ukryć wzruszenia – ja już dawno straciłem wszelką nadzieję. Ale słuchajcie, rozgościecie się, zaraz przyrządzę jakiś obiad, może chcecie umyć ręce? Dwadzieścia lat, niewiarygodne, to już dwadzieścia lat. Ale mówcie, jak żyjecie, co robicie, czy macie dzieci, gdzie pracujecie, opowiadajcie.

– Czy tu można palić? – spytał Michiel.

– Tak, oczywiście. Proszę, tu jest popielniczka.

Michiel zapalił papierosa i rozpoczął – mamy dwóch synów; Marka i Leona. Mark jest w wojsku.

– Ma dziewiętnaście lat – wtrąciła Jetta.

– To może ty już lepiej mów, ja jestem zbyt zdenerwowany.

– Leon ma piętnaście, rzucił szkołę i włóczy się gdzieś po Holandii. Od siedmiu lat mieszkamy w Utrechcie. Michiel ma tam świetną pracę, jest księgowym w dużej firmie. Ja dorabiam trochę w domu, projektuję wnętrza. Powodzi nam się dobrze i gdyby nie Leon...

– A macie z nim jakiś kontakt?

– Dzwoni od czasu do czasu, kiedy mu zabraknie pieniędzy.

– Zażywa narkotyki?

– Chyba tak, ale nie jest to na skalę problemu.

– Pije?

– Z tego co wiemy, to nie. Jego zachowanie wynika raczej z buntu i konfliktu pokoleń.

– Pamiętam, jak to ty byłeś młody gniewny, wydaje się tak nie dawno – Dorn zamyślił się – posiadałeś trochę chłopce.

– Chłopiec ma już czterdzieści dziewięć lat – uśmiechnął się Michiel.

– Nie tylko mnie czas się ima. Ale, wybaczcie, w ogóle się wami nie zajmuję. Jestem kompletnie wytracony, wasz przyjazd jest tak niespodziewany, oczywiście jestem szczęśliwy, ale jest to dla mnie szok. Mamy sobie tyle do powiedzenia, nie wiem gdzie zacząć. Zrobię coś do jedzenia. Nie jestem jednak najlepszym kucharzem, nie spodziewajcie się zbyt wiele.

– Może ja pomogę – zaoferowała Jetta.

– Nie, proszę, teraz siedź, może później. Dopełnię wam kieliszki. Włączę wam muzykę. Co chcecie posłuchać, mam niezły wybór płyt.

– Ma Tata Carminę Buranę? – spytał syn.

– Mam.

– To poproszę.

Dorn włączył płytę i z głośników zabrzmiały ciche dźwięki chóru i bębnow, wolno narastające, aż wypełniły pomieszczenie głośnym brzmieniem niepokoju. Michiel słuchał muzyki w milczeniu, rozpostarłszy ręce na szybie przed sterem i patrząc w ciemność za oknem. Gdy skończyła się pierwsza część, podszedł do żony.

– Czy zauważyłaś jego zachowanie?

– Masz na myśli sterowanie kołem?

– Tak. Czy widziałaś, że praktycznie nie wypuszcza steru z ręki?

– Trudno nie zauważyć.

– I mówisz to z takim spokojem?

– Cóż, wiek ma swoje prawa. Poza tym zdaje się być całkiem sympatyczny.

– No, tak, ale ktoś mu musi powiedzieć, że nie znajduje się na okręcie, a w wiatraku, na lądzie. On nigdzie nie płynie, a już na pewno nie steruje. Jego ruchy kołem są absurdalne, niczego nie zmieniają, pozostają całkowicie bez znaczenia dla niego i jego domniemanego okrętu.

– Zostaw go. Jeśli mu to sprawia przyjemność, daje złudzenie, jeśli jest mu z tym do brze. Czy nie to jest najważniejsze?

– Ale to jest szaleństwo, to trzeba leczyć.

– Kto potrafi określić granice pomiędzy szaleństwem a normalnością. Jest niegroźny i nieźle wygląda. Nie widziałaś go dwadzieścia lat. W tym wieku to dużo.

– Gdy go zobaczyłem, w pierwszej chwili doznałem ogromnego szoku. Wiesz, przez parę minut nie mogłem się oswoić z tym widokiem. Pamiętałem go jako mężczyznę pełnego sił, energicznego, bystrego w słowie i geście. Miał bujne włosy, prostą postawę. Był wysportowany, mógł bieć maraton. Teraz jest zgarbionym, siwym, szalonym dziadkiem.

– Wygląda na pogodnego starca. Niejeden młody...

– Wiem, wiem, już to słyszałem.

Dorn wszedł do pokoju niosąc dwa półmiski – pomóżcie mi nakryć do stołu. Sprawnie nakryli obrus, talerze, sztućce, aż wkrótce stół zapelniał się kolorowymi misami. Na końcu Dorn zapalił na stole trzy świece.

– Wasze zdrowie – powiedział unosząc kieliszek. Nagle silny podmuch wiatru uderzył kroplami deszczu o szyby. Bicie było tak głośne, że uniemożliwiło rozmowę. Wszyscy odwrócili głowy w stronę okien. Deszcz przerodził się w grad, zdawało się, że bombardowany wiatrak lada chwila ulegnie żywiołowi i rozpadnie się na kawałki. Lecz groza trwała niedługo, wiatr ustał i tylko deszcz bębnił cicho o dach.

– Wiecie – rozpoczął ojciec – taki wieczór zawsze przypomina mi słowa nieboszczyka wujka. Przyjechał do nas wtedy z dalekich wojaży, był marynarzem. Podobnie jak dziś, siedzieliśmy przy zastawionym stole. Twoja matka była wtedy w szpitalu, oczekując na poród, wuj jeszcze nie wiedział o tym, nie zdążyłem mu o tym powiedzieć. Nagle wstał od stołu, podszedł do okna i, patrząc na wioskę skąpaną deszczem, powiedział cicho, wolno cedząc słowa – w taką noc rodzą się dzieci. Nie wiem skąd mu to przyszło do głowy, dlaczego to powiedział. Nie wiem czemu te słowa tak mocno utkwily mi w pamięci. Parę godzin później zadzwonił telefon ze szpitala. Wkrótce usłyszeliśmy twój zdrowy płacz.

– Nie znałem tej historii, czemu jej Tata nigdy nie opowiadał?

– Widocznie dotąd nie było chwili, która by tak przypominała ową noc.

– Teraz rozumiem skąd bierze się twoja mroczna natura – dodała z uśmiechem Jetta.

– Chyba nie jest tak źle, Michiel był zawsze radosnym dzieckiem – Dorn uniósł kieliszek do ust – lecz znowu zaciągnął się kaszlem.

– Ten taty kaszel nie wygląda najlepiej, czy to coś poważnego? – spytał Michiel.

– Powiem wam szczerze, byłem z tym kiedyś u lekarza, ale tak na prawdę – to on sam nie bardzo wiedział. No, ale mówcie, jak się miewa matka?

– Dziś już jest w porządku, ale nie przyszło jej to łatwo – Michiel spuścił wzrok – przez pierwsze dwa lata po odejściu ojca była w skrajnej rozpacz. Nie potrafiła sobie znaleźć miejsca, nie wyobrażała sobie egzystencji bez taty. W końcu przeżyliście razem trzydzieści pięć lat... Jej świat runął, wszystko straciło sens. Przez te wszystkie lata nawet nie przypuszczała, że coś jest nie tak, aż tu tata powiedział jej ni stąd ni zowąd, że wasze małżeństwo było jedną wielką pomyłką. Od pierwszego dnia. Dlatego ja i bracia...

– Wiem. Lecz dziś, kiedy jesteś już dorosły, powinieneś rozumieć i moją rację...

– Zrozumiałem i dlatego tu jestem.

– A czy matka znalazła kogoś?

– Nie. Nie potrafiła zaufać drugiemu mężczyźnie, w ogóle straciła wiarę w ludzi. Została skażona na resztę życia.

– To szkoda.

– A tata, od dawna już sam?

– Karen umarła pięć lat temu – zasepił się Dorn – był to dla mnie dotkliwy cios, zapewne kara boska. Lata przeżyte z nią były dla

mnie najwspanialszymi w życiu. To znaczy, nie żałuję, że was mam, aczkolwiek musiałem zaakceptować fakt, że straciłem swoich synów bezpowrotnie. Jej śmierć przeżyłem boleśnie, w ciągu roku przybyło mi dziesięć lat. Tu mieszkaliśmy razem zaledwie ostatnie parę lat. Ledwie zdążyliśmy ukończyć renowacje, kiedy dowiedzieliśmy się, że ma raka płuc... nie chcę o tym mówić... To była niezwykła kobieta, unikalny człowiek. Karen nauczyła mnie żyć, kochać życie i świat. Ona pokazała mi jak się cieszyć chmurnym niebem i jak zachować pogodę ducha, gdy doskwiera ból. Mimo przewlekłych boleści przed śmiercią, do końca zachowała uśmiech i zmarła pogodna, wbrew cierpieniu. Jej ostatnie słowa były wyznaniem miłości. Kazała mi przysiąc, że będę żył zgodnie z jej filozofią, że będę szczęśliwy. I wiecie, przysięgi dotrzymałem. Zresztą była zbędna, i tak żyję według jej nauk. Nie myślcie jednak, że owo szczęście przyszło bez bólu. Nic się nie osiąga za nic, coś jest za coś. Możesz mi uwierzyć lub nie, przez te wszystkie lata nigdy nie zapominałem ani o was o matce, a konsekwencje mojego czynu będą mi towarzyszyć przez resztę moich dni. Nie proszę o współczucie ani o przebaczenie i nie oczekuję go.

– Jest tata wobec siebie bardzo surowy – powiedziała Jetta – czas leczy wszystkie rany. Chyba nadszedł już moment pojednania, prawda Michiel?

– Myślę, że tak. Wypijmy ojce za pojednanie.

– Cieszę się synu. Ale opowiedzcie mi jeszcze o sobie. Przecież nic o was nie wiem.

– To może ty mów Michiel, ja posprzątam ze stołu i zrobię herbatę.

– Ty opowiadaj, zrobisz to znacznie lepiej, a ja poradzę sobie z herbatą – powiedział Michiel wstając od stołu.

– W takim razie chodź Jetta, usiądźmy na fotelach, będzie nam wygodniej.

– Cieszę się bardzo z tego spotkania – rozpoczęła – już dawno go do tego namawiałam. Ale wie tata, on też jest Dornem, a to uparte natury.

– No, no – powiedział żartobliwie ojciec.

– Właściwie można by powiedzieć, że żyje nam się nieźle. Leon jest niewątpliwie ogromnym zmartwieniem, ale myślę, że to mu przejdzie. Jeśli mam być uczciwa, to bardziej martwię się Michielem.

– A to dlaczego, czyżby jakaś choroba?

– Nie, broń Boże, a właściwie – zawiesiła głos – może to i choroba. Wie tata, on już od dłuższego czasu nie potrafi się cieszyć życiem. Pamięta tata, jak się kiedyś pasjonował tenisem. Mógł grać godzinami, i co więcej, z radością wyczekiwał spotkań na korcie, a po dobrym meczu wracał do domu zmęczony, lecz szczęśliwy, niemal uduchowiony. (...)

Ciąg dalszy w następnym numerze

III Światowe Forum Mediów Polonijnych

W dniu 15 listopada 2020 r. odbyło się III Światowe Forum Mediów Polonijnych, pod patronatem honorowym Instytutu Nauk o Komunikacji Społecznej i Mediach Uniwersytetu Marie Curie Skłodowskiej w Lublinie oraz Polskiego Towarzystwa Komunikacji Społecznej.

Partnerami Forum była grupa Tipmedia i Fundacja Bona Notitia. Patronat medialny objęła Polonijna Agencja Informacyjna, PAI i Światowe Stowarzyszenie Mediów Polonijnych.

Organizatorami Forum byli: Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” reprezentowane przez prezesa Dariusza Piotra Bonisławskiego, Zrzeszenie Organizacji Polonijnych w Szwecji reprezentowane przez prezes Teresę Sygnarek oraz Europejska Unia Wspólnot Polonijnych reprezentowaną przez prezydenta Tadeusza Adama Pilata.

Tegoroczne Forum było siódmym z kolei spotkaniem, pierwsze cztery spotkania odbywały się jako Europejskie Fora Mediów Polonijnych, a w 2018 roku Forum przyjęło formułę spotkania światowego. W tym roku, ze względu na sytuację pandemiczną, Forum Mediów odbyło się w formie wirtualnej na platformie komunikacyjnej Evenea, na której zalogowało się i wzięło udział w Forum 106 przedstawicieli mediów polonijnych (wydawnictw prasowych, portali, blogów, radia i telewizji) z 25 krajów i z pięciu kontynentów.

W programie Forum znalazły się m.in. prelekcje:

- Dziennikarstwo emigracyjne w historycznym kontekście – prof. dr hab. Iwona Hofman, Dyrektor Instytutu Nauk o Komunikacji Społecznej i Mediach Uniwersytetu Marie-Curie Skłodowskiej w Lublinie

- Przepis na atrakcyjność mediów polonijnych – Sabina Klimek, dr nauk ekonomicznych, konsul RP w Stambule – Ogólne zasady etyki, kodeksu dziennikarskiego i prawa cytatu – Juliusz Marek, prezes Stowarzyszenia Polskie Telewizje Lokalne i Regionalne

- Empatyzacja odbiorcy jako sposób pozyskiwania czytelników – dr Karolina Burno, Katedra Dziennikarstwa na Wydziale Politologii i Dziennikarstwa Uniwersytetu Marie-Curie Skłodowskiej w Lublinie

- Bolączka mediów polonijnych – jak zarabiać na portalu internetowym – Piotr Marek, CEO Grupa Tipmedia

- Optymalizacja i pozycjonowanie stron internetowych redakcji – Rafał Kozłowicz,

specjalista ds. content marketingu, Grupa Tipmedia

Media polonijne w Europie i na świecie są ściśle związane z realizacją priorytetów polityki polonijnej władz polskich, spełniają ważną rolę poprzez promowanie języka polskiego oraz służą integracji środowisk polonijnych i przybliżają je do Kraju. Dla mediów polonijnych ważne jest posiadanie stałej, wspólnej platformy spotkań, którą zapewniają im organizowane corocznie Fora Mediów, oraz założone z inicjatywy uczestników w 2019 roku Światowe Stowarzyszenie Mediów Polonijnych, zrzeszające dziennikarzy, redaktorów, fotoreporterów i niezależnych dziennikarzy pracujących dla mediów polonijnych.



Uczestnicy wyrazili podziękowanie organizatorom i zwrócili się do nich z prośbą o coroczne kontynuowane medialnych spotkań.

Organizatorzy III Światowego Forum Mediów Polonijnych Zrzeszenie Organizacji Polonijnych w Szwecji – Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” – Europejska Unia Wspólnot Polonijnych Partnerzy: Grupa Tipmedia – Fundacja Bona Notitia

40



KONCERT Z OKAZJI 40. ROCZNICY POWSTANIA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

ORKIESTRA KAMERALNA POLSKIEGO RADIA „AMADEUS”

pod kierownictwem

ANNA DUCZMAL-MRÓZ

z udziałem

KLARA GRONET (SKRZYPCE)



DOSTĘP

OD 29 LISTOPADA

DO 13 GRUDNIA



LINK Z DOSTĘPEM DO NAGRANIA KONCERTU NA STRONIE INTERNETOWEJ:

WWW.GOV.PL/HOLANDIA/KONCERT-ONLINE-AMADEUS



Ministry of
Culture
and National
Heritage of
the Republic
of Poland.



CULTURAL INSTITUTION
OF THE WIELKOPOLSKA REGION



Embassy
of the Republic of Poland
in The Hague

45.

Festiwal
Polskich
Filmów
Fabularnych

Gdynia
8-12.12.2020
festiwalgdynia.pl

@FPFFGDYNIA
#45FPFF

